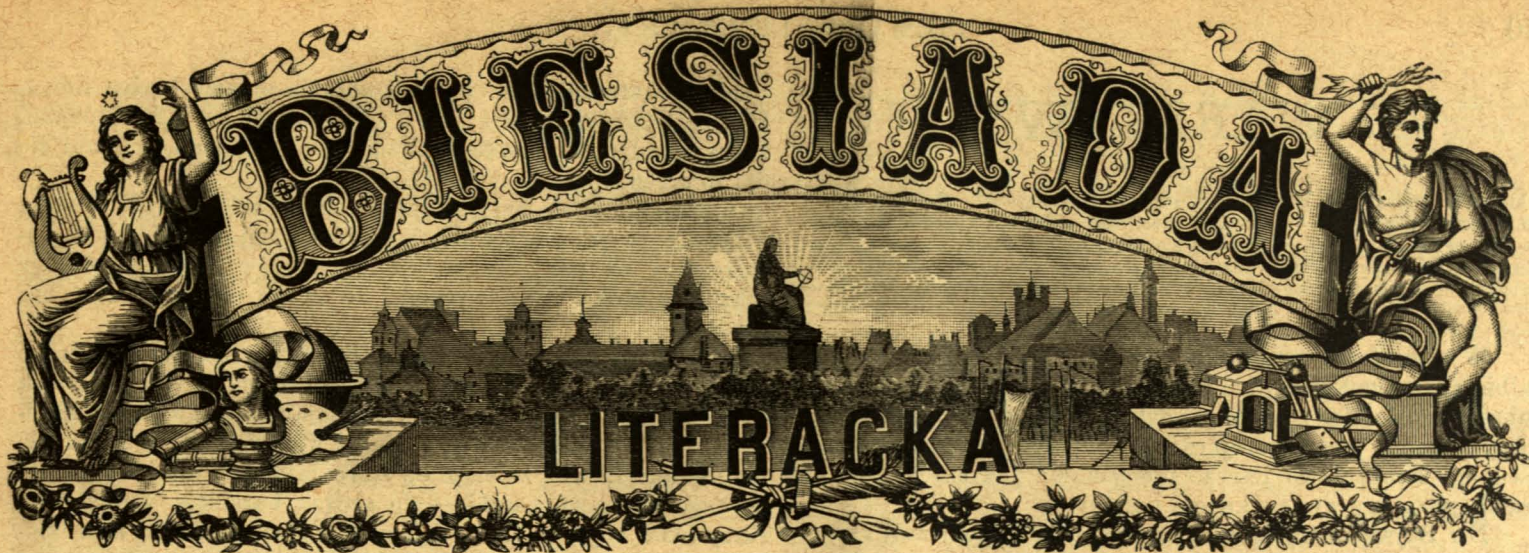




LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 24-598.

Redakcja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 17 czerwca 1887 r.

5 czerwca 1887 r.

Tom XXIII.



D-R JÓZEF MAJER.

(Podług fotografii W. Rzewuskiego w Krakowie.)

każe sobie odplacać honorami bez końca. Niejeden z uznanych za wielkiego człowieka, patrząc na portret strażaka, pod którym podpisano tylko — bohater, — musi sobie pomyśleć: jam wielki ale ten nieznany stokroć większy.

Pożar wszczął się podczas pierwszego aktu opery „Mignon”; od płomienia gazowego zajęła się dekoracja i niebawem iskry i płonące strzępy poczęły padać na scenę, między artystów i figurantów. Mimo ostrzeżeń reżysera i artystów, którzy upominali publiczność aby nie traciła krwi zimnej, wystraszeni widzowie rzucili się w ciasne korytarze, tłocząc się jedni na drugich, byle tylko jaknajprędzej dopaść wyjścia. W foyer i w łóżach artystów, aktorzy w kostiumach scenicznych, figurantki napół ubrane, siedziały nieruchome, sparaliżowane przerażeniem. Większa część poszła w ślad za uciekającymi a na ulicy Favart wśród czarnego dymu, który tylko od czasu do czasu błyskawica iskier rozświecała, poczęli się ukazywać biegnący w popłochu barytoni, tenorzy, chórzysci, tancerki, figurantki, i chronić się po kawiarniach i domach sąsiednich.

Na wyższych galeryach rozlegały się krzyki rozpacz, żalosne wołania, na które odpowiadały głosy tłumu, zaklinając nieszczęśliwych, aby czekali na przybycie przyrządów ratunkowych. Po balkonach galeryj drugiego piętra, po gzymsie kamiennym wystającym pod samym dachem, widzowie i służba teatralna biegali tu i owdzie, bezprzytomni, rozpaczliwie się rzucając w ogień lub na bruk ulicy.

Słychać turkot; to straż ogniowa biegnąca krokiem szturmowym, z sikawką ręczną i kilkoma drabinami.

Krzyki nieszczęśliwych wzmagają się. Straż przystawia drabiny. W chwili gdy hak od drabiny czepia się markizy wychodzącej na ulicę Favart, jakiś człowiek nieprzytomny rzuca się z góry: ciało odbija się od markizy i roztrzaskuje się na bruku. Za chwilę druga postać ludzka miga się w dymie i pada rozbita o chodnik: to figurant teatralny. Dwie kobiety: jedna kostiumerka teatralna, druga należąca do widzów, biegają po gzymsie, napół uduszone, z rozwianymi włosami, w sukniach zwęglonych, wśród płomieni i dymu; straż ogniowa, która przybyła ze wszystkich stanowisk, wdziera się po drabinach; strażacy na rękach znoszą te dwie nieszczęśliwe, które po chwili skonały.

Około jedenastej dało się słyszeć dwukrotne potężne trzaśnięcie, poczem nastąpił huk głuchy: to dach się zapadł. Zapadł się też skład kostiumów, położony na wysokości ostatnich galeryj, buchając różnokolorowymi płomieniami, unoszącymi się w powietrzu niby błędne ogniki. Następnie ginie biblioteka i archiwa z rękopismami partycyj i orkiestracyami oper, których przecież pewną liczbę ocalić zdołano.

Okna wychodzące na ulicę, przez które widać wnętrza sali podobne do jednej ogromnej otchłani żaru, porozbijano kamieniami i kulami z rewolwerów.

Z drabin ustawionych na placu, z balkonów domów sąsiednich, strażacy puszczają strumienie wody na wszystkie otwory z których wydobywa się płomień.

Jedna z tych drabin, ustawiona na środku placu, wznosi się prawie prostopadle w powietrze, bez żadnego oparcia. Na szczycie jęj siedzi strażak okrakiem na najwyższym szczeblu, zawieszony w próżni, niby błazen cyrkowy na maszcie i ztamtąd kieruje końcem węża idącego wzdłuż drabiny od sikawki. Patrząc nań, w głowie się zawraca; mimo przerażenia, które ogarnia zgromadzone tłumy, rozlegają się oklaski.

W tej chwili, kiedy zdawało się, że już wszyscy co pozostali wewnątrz, muszą być oddawna zwęgleni albo zaduszeni, daje się słyszeć rozdzierający krzyk na najwyższym gzymsie. Dwoje widzów wzywa pomocy strażaków. Usłyszano ich. Strażacy z odwagą i krwią zimną nadludzką przystawiają drabinę i nie bacząc, że płonący gmach runie może za chwilę, wpośród płomieni dostają się do nieszczęśliwych. Mężczyznę sprowadzają po drabinie, kobietę, słabszą i zacieężką, spuszcza ją na sznurach na dół, gdzie ją odbierają koledzy. Tłum wznosi okrzyki uwielbienia na cześć bohaterów.

Należała im się ta oznaka uznania, bo gdy niebezpieczeństwo minie i oni wrócą do koszar, żaden z nich nie pójdzie do swego naczelnika domagać się nagrody za swoje poświęcenie a imiona ich pozostaną nikomu nieznane. Oni wyrzekają się osobistości: egoizm sławy, to rzecz u nich nieznana.

Owi dwoje ludzie ocaleni to ostatni, którzy wyszli żywo z sali Favart. O północy pożar dokonał dzieła zniszczenia.

Płomienie poczęły słabnąć, dym gryzący chwytal za gardło urzędników i widzów. P. Carvalho, dyrektor Opery Komicznej, łkając ze wzruszenia, opowiada co widział na własne oczy. Gdy strach paniczny ogarnął tłum, powstał okropny tłok i ścisk w korytarzach górnych galeryj, duszono się przy wyjściach; górne piętra najstraszliwiej zostały nawiedzone, to też mnóstwo jest ofiar z pośród figurantek i służby teatralnej.

Od świtu rozpoczęto poszukiwanie zwłok; co chwila odnajdywano nowe trupy. Wpośród wzruszonego na wskrós tłumu, który zalegał ciągle ulicę, przesuwały się trumny; pod okrywającymi je całunami, patrzący domyślali się ciał strawionych w ogniu, niepodobnych do poznania, albo uduszonych, z okropnie wykrzywionymi twarzami, z pianą na ustach. Na wszystkie sąsiednie stacje policyjne rozchodzą się te kondukty pogrzebowe, którym towarzyszą ciekawi, drżący z obawy, czy w każdej nowej ofercie nie poznają kogo ze swoich.

W południe prefekt policyi i pułkownik straży ogniowej weszli po drabinie na szczyt fasady. Przy jednym z wejść ujrzeni trzy trupy; w sali widzów gruzy wznosiły się do wysokości pierwszego piętra; pod nimi to leżały ciała widzów i służby, których schwytało zapadnięcie się dachu.

O godzinie pierwszej, w rogu zewnętrznego balkonu galeryj drugopiętrowych, znaleziono mężczyznę i kobietę zastygłych we wzajemnym objęciu; kobieta była w stroju balowym.

Popołudniu coraz więcej ciał znajdować poczęto; z jednego tylko korytarza wydobyło ośmnaście trupów, między nimi siedemnaście było kobiet.

A pożar jeszcze się nie skończył; ogień dyszał przyczajony pod zgłiszczami, wśród których gospodarowała już łopata i kilof strażacki. Co chwila rozlegał się trzask złowrogi: to belka zapada się strawiona ogniem, albo pada jakaś ściana, zwalona przez strażaków torujących sobie drogę. Przed gmach spalony zaszły wozy instytucji pogrzebowej, dla przewiezienia trupów do Morgi. Zewsząd zbiegli się ludzie, mężczyźni i kobiety, płakani, zrozpaczeni, dopytując się o krewnych, o przyjaciół.

Widok był przez kilka dni rozdzierający; a cóż powiedzieć o smutku, o boleści i rozpaczach tych, co uczuć swoich nie objawiali publicznie, ale cierpieli pocichu, w ukryciu...

Takie cierpienia tylko Bóg złagodzić może!

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Dla oficyalistów gospodarczych i fabrycznych. O upadku gospodarstw i przemysłu wiejskiego w guberniach południowo-zachodnich nie tyle się mówi co o krachach bankierskich, więcej jednak rolników padło ofiarą niż jest poszkodowanych przez niefortunne spekulacje giełdowe. Przemysł cukrowniczy rozwinięty do nadzwyczajnych rozmiarów wytworzył legiony oficyalistów gospodarczych, administracyjnych, techników, chemików, buchalterów i t. p. — dziś wszyscy oni, z małemi wyjątkami, są bez zajęcia. Wiadomo jak pięknie się zapisał na kartach filantropii hr. Wł. Branicki, który dzielił się swym majątkiem z proletaryatem rolniczo-przemysłowym; każdy znajduje u niego pomoc narazie, potworzył posad znacznie więcej niż potrzeba, aby tylko dać jaknajwięcej zajęcia, wspomaga gotówką, ziarnem, opalem, dachem, rekomendacją do sąsiadów bliższych i dalszych. Magnat ten jest duchem opiekuńczym nieszczęśliwych ale i jego środki są ograniczone, całej biedzie zapobiedz nie może, zwłaszcza, że ta bieda z każdym dniem wzrasta, bo gospodarstwa i fabryki staczają się po pochyłości. Inicjatywę w ratowaniu nieszczęśliwych wzięło teraz na siebie kijowskie „Towarzystwo gospodarstwa i przemysłu wiejskiego”; odezwalo się ono do innych towarzystw i osób prywatnych, prosząc o nadsyłanie swych żądań i zapewniając, że rekomendować będzie tylko ludzi pewnych, zdolnych, pracowitych, mogących się zalecić dobrą przeszłością. Przy żądaniu trzeba wyszczególnić dokładnie rodzaj zajęcia, wysokość wynagrodzenia, czy będzie dodany lokal,

opał, ordynarya i t. p. Na wezwanie to nie pozostaną zapewne głuchymi właściciele ziemscy i przemysłowcy; teraz zwłaszcza wobec wydalań cudzoziemców nieraz rolnik lub właściciel fabryki uczuje nagły brak pracowników—niechże się uda do Towarzystwa, a sobie i ludzkości zrobi wielką przysługę.

Ze zjawisk przyrody. Od p. M. Bagieńskiego, w cukrowni w Kołowińcach, otrzymaliśmy następującą notatkę meteorologiczną, za którą uprzejmie dziękujemy; jest ona dowodem, że wszędzie możemy coś dorzucić do wspólnej wiedzy. „D. 21 stycznia r. b. o godzinie 5 wieczór ukazała się wielka smuga świetlana w stronie południowo-zachodniej, idąca prawie w kierunku poziomym z południa na zachód. Smuga ta widzialna była z 10 minut; nagle posunęła się na zachód nadzwyczajnie szybko i wtedy usłyszeliśmy huk, podobny do wystrzału armatniego, połączony z trzaskiem, a smuga zaczęła się rozpylić w złote i srebrne chmurki. Od mego zamieszkania w odległości dwóch stacji kolei żelaznej, pomiędzy stacją Romanów i Pieczanówką, spadł ten aerolit, w postaci bryły kamienną w różnych kolorach, podczas przechodu pocztowego pociągu, o 60—70 sążni od linii kolei żelaznej. Zważono go na st. Pieczanówkę: miał 13 pud. 30 funt.; ztąd odesłano go do kijowskiego obserwatorium astronomicznego. Dotychczas w żadnej gazecie polskiej o tém zjawisku nic nie wyczytałem, chociaż starannie je przeglądam; czyżby nasi meteorolodzy takie aerolity 13-sto pudowe uważali za drobiazgi, o których nie warto wspominać?”

Tak nie jest, stacye meteorologiczne, urządzone przy warszawskim Muzeum rolniczo-przemysłowem i w innych miejscowościach, a głównie przy cukrowniach, zajmują się każdym wypadkiem bez względu na jego nadzwyczajność. Mając na celu wiedzę i pożytek, zwracają uwagę i na rzeczy powszednie.

W czasie pożaru, który nawiedził miasto Słuck, w gub. Mińskiej, otrzymała pierwszy chrzest poświęcenia młodzież miejscowego gimnazjum, walcząca z rozszalałym żywiołem. Zgórzało w ciągu dwóch godzin przeszło 50 domów drewnianych, kilkadziesiąt sklepów i kilka domów murowanych; straż ochotnicza złożona tylko z dwudziestu ludzi stała się wkrótce bezsilną, do opanowania żywiołu wielce się przyłożyła młodzież szkolna. Z takiego czynu mogą być dumni rodzice, umieją oni swe dzieci wychowywać.

Klejnoty korony francuskiej i maszyny parowe. Licytacja klejnotów korony francuskiej już skończona—za brylanty, rubiny, ametysty i t. p. kamienie rząd zebrał przeszło sześć milionów franków, więc stosunkowo bardzo dużo, bo prawie trzecią część nominalnej wartości. Na takie ciężkie i niepewne czasy to dobry interes. Równocześnie licytowano maszyny w cukrowni p. Bychowskiego, w gub. Czernichowskiej, która przed kilku laty przynosiła właścicielowi 100,000 rs. rocznego dochodu. Za maszyny kosztujące przeszło 150,000 rs., dawano 2,800 rs; sumę 4,500 rs., na jaką zostały oszacowane do licytacji, uznano za przesadzoną. Ci z naszych rodaków, którzy woleli kupić część klejnotów korony francuskiej, zamiast kapitały swoje ulokować w przemyśle, będą się powoływać na oplakany cukrowy interes.

MIECZ i DYPLMACYA. Echo Batennbergiady znowu z legendy wypłynęło na niwę politycznej rzeczywistości; „Ajencya półn.” doniosła, że W. Porta, na żądanie rejencji, przedstawiła mocarstwom dwóch kandydatów do tronu bułgarskiego: ks. Aleksandra Battenberga i ks. Koburskiego. Ten drugi odgrywa tylko rolę komparsa, aby na scenie nie było zbyt pusto.

Nie wielki pożytek ale byłaby zawsze uciecha, gdyby Puttkamer dostał się do kozy, za to, że nie poprzestając na roli siepacza, podlegał w parlamencie radcę Bittnera, przeciw posłowi Kościelskiemu. Prawo pruskie surowo karze tych, co się pojedynkują i tych, co do pojedynku namawiają, a minister z butą germańską skłaniał niemieckiego urzędnika do wyzwania polaka, pewnym będąc, że polak przeprosi. Minister przerachował się; p. Kościelski wyzwanie przyjął i upokorzył przeciwnika, wystrzeliwszy w ziemię, chociaż Niemiec drżącą ręką celował starannie. Minister teraz w kłopotcie, zapiera się słów prowokacyjnych, wymówionych w parlamencie; wyklamuje się, jakby był

nie ministrem potężnego państwa ale meklerem giełdowym, co cedułę sfałszował.

Na Czechy spadł grom—śmierć Henryka J. hr. Clam-Martinica jest ciosem niepowetowanym w tej chwili dla stronnictwa staroczeskiego, które ma do zwalczania wpływy warcholstwa młodoczechów, obalamujących umysły młodzieży i prostaczków swoją czelnością i blagieryą. Zmarły magnat był wiernym sojusznikiem korony austriackiej i tylko na unii ludów pod berłem Habsburgów gruntował przyszłość Czech, dla których żądał autonomii narodowej. Wpływ hrabiego był wielki; pomimo, że musiał z powodu choroby przez trzy lata przebywać w ciepłicach zagranicznych, żadna sprawa dotycząca Czech nie obeszła się bez jego zdania—zdala nadawał im kierunek. Staroczesi są w żałobie, natomiast młodoczesi powiewają sztandarem, który uważają za sztandar zwycięzki, dlatego, że go pomalowali ja-skrawo. Niema koloru tak trwałego, którego by nie zniszczyła głupota lub zdrada.

Na łono kościoła katolickiego—donosi „Germania”—przeszedł ks. Paweł Meklenburski; chociaż jest to czyn osobistego przekonania, nie pozostanie jednak bez znaczenia w stosunkach politycznych rzeszy niemieckiej. W groźnych okolicznościach, w jakich znajduje się cesarstwo niemieckie, nie można powiedzieć o jednym więcej lub jednym mniej księciu, jak się mówi o żołnierzu, bez którego wojna się obejdzie.

Nienawiść ma apetyt nienasycony ale środki do zaspokojenia pożądliwości ograniczone; — potwierdza to system przesładowczy prusaków, stosowany do Alzacy i Lotaryngii: jest on wierzytelną kopią systemu zaaplikowanego w Poznańskim, na nic nowego geniusz krzyżacki zdobyć się nie mógł. Te same aresztowania, wypędzania, wywożenia, to samo zagłuszanie języka, to samo szpiegostwo i wygrażanie wytępieniem wszystkich. Zaczęto od wydalania posłów, burmistrzów, lekarzy, kupców—skończy się na wydalaniu gromadami ludności i na zakazie przyjmowania do służby francuzów, jak to zrobiono teraz w Prusach zachodnich, gdzie nie wolno jest dać zajęcia polakom i polkom obcokrajowcom. Łada dzień każą ze szpitali powyganiać chorych, którzy do lekarza odezwą się po polsku; — szaleństwo wzrasta, im prędzej tém lepiej.

Wiatraki, z którymi walczył Don Kiszot, mają stracić narazie swój charakter komiczny i stać się poważnym czynnikiem wojennym. Ministerjum pruskie zamyśla wszystkie wzgórza, na których zwykle stawiają się wiatraki, ufortyfikować i podminować; byłyby to ogniwa wielkiego łańcucha twierdz i fortec. W takich warunkach zajęcie młynarza nie bardzo się uśmiecha: mleć mąkę na kluski i pilnować armaty, to już nie dwa ale sto grzybów w barszcz.

Ze Lwowa. Na przyjęcie arcyksięcia następcy tronu Rudolfa czynią się wspaniałe przygotowania; oprócz illuminacji, ogni bengalskich, balów, parad wojskowych, reprezentacji teatralnych we Lwowie i Krakowie—uroczystość będzie miała charakter etnograficzny. Przed arcyksięciem przedefiniują wszystkie narodowości zamieszkujące Galicyą, w swych odświętnych strojach, z muzyką, śpiewami i innemi atrybutami cechującemi miejscowość. Arcyksiążę będzie świadkiem wesel huculskich, mazurskich, góralskich i t. d.; najpiękniejsze wiochny i najdo-rodniejsi parobcy będą oblubieńcami, a łatwo przyjdzie ich znaleźć, bo ludu pięknego w Galicyi jak maku. Banderze eskortować będą powóz arcyksięcia — a kapela góralska do biesiad przygrywać. We Lwowie, na wzgórzu, gdzie był ongi namiot wezyra, powiewać będzie wielka chorągiew zielona ze złotym półksiężcem, a chorągiewki białe-czerwone tam, gdzie stał obóz polski. Wspomnienia z przeszłości podadzą rękę rzeczywistości obecnej, aby w umyśle dostojnego gościa pozostawić niezatarte wrażenie. Festyn kosztować będzie Galicyą bardzo dużo, a czy przyniesie odpowiedni procent, na to i sam arcyksiążę, pomimo życzliwości, nie umiałby odpowiedzieć.

DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKĘ „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

Pojechali obaj z Arturem i życie w Tawton Magna znów do dawnego wróciło trybu. Lady Damerel wyjechała do Bath wraz z mężem, który coraz silniej zapadał na zdrowiu i pałac w Tawton Abbas, niedawno pełen ludzi i gwaru, stał teraz cichy i zamknięty. Zuzanna powoli się uspokoiła i zastanawiając się nad dziwnym odkryciem doktora Franklina, wątpiła niekiedy, czy słuszną jest rzeczą utrzymać je w tajemnicy.

Wzgląd na materyalne korzyści, jakie zyskiwał Artur, gdyby można było dowieść, że jest prawym synem sir Karola Damerel, dziedzicem jego mienia i tytułu, mało wpłynął na jej postanowienie. Gdyby się okazało, że rodzice jego są zacnymi, biednymi ludźmi, byłaby się zrzekła praw swoich do Artura, choćby jej serce pęknąć miało, ale oddać go takiej kobiecie jak lady Damerel—nigdy!

Lepiej niech idzie w świat o własnych siłach, niech pracuje na chleb w pocie czoła, niech wyrabia sobie imię i stanowisko, które jego własnym będzie dziełem.

Trzy miesiące upłynęło i właśnie Artur pisał, że wybiera się na Święta Bożego Narodzenia do domu, kiedy pani Trevena spotkała się znów z kobietą, która była matką jej syna.

Lady Damerel przyjechała do Tawton Abbas na kilka dni, żeby zarządzić rozdaniem między biednych węgla, mięsa i pieniędzy, co należało do obowiązków wielkiej pani; ponieważ w tym czasie wypadła niedziela, poszła więc do kościoła i została zaskoczona przez gwałtowną ulewę.

— Może państwo pozwolicie, że tymczasem schronię się do was—rzekła uprzejmie do państwa Trevena, którzy mieszkali w pobliżu kościoła.

Profesor sam pod parasolem zaprowadził ją do domu i posadziwszy w saloniku, zapytał grzecznie o zdrowie sir Karola. Po kilku minutach obojętnej rozmowy, lady Damerel zwróciła się do Zuzanny.

— Tak wcześnie opuściłaś pani moją zabawę, że nie miałam nawet czasu porozmawiać ani z panią, ani z tym panem, którego państwo przyprowadzili. Jak on się nazywa?

Profesor z żartobliwą czułością mówił nieraz o żonie, że jest najodważniejszą istotą pod słońcem i poszłaby śmiało na armaty, gdyby tego było potrzeba; w tej chwili dała istotny dowód niepospolitego mężstwa, kiedy patrząc w oczy lady Damerel, odrzekła dobitnie:

— To był doktor Franklin z New Yorku, ziomek pani, gdyż podobno jesteś amerykanką?

— Istotnie, urodziłam się w Baltimore.

— Mówił, że przypominasz mu pani kogoś znajomego—nawnie wtrącił profesor—to bardzo dobry człowiek, wyrządził nam niegdyś wielką przysługę. Poznaliśmy się zagranicą i zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Artur jest jego chrzestnym synem.

— Doprawdy?—z udaną obojętnością rzekła lady Damerel—czy pański przyjaciel bawi tu jeszcze?

— Nie, wczoraj właśnie odpłynął do Ameryki. Artur pojechał do Liverpool, żeby się z nim pożegnać.

— Pański syn ślicznie gra, zamawiam go sobie na przyszłość jako akompaniatora. Czy kieruje się na artystę?

— O nie; po skończeniu kolegium w Winchester, idzie na wydział matematyczny do Oxfordu. Jest bardzo zdolny i pracowity.

Lady Damerel słuchała z roztargnieniem, jak gdyby szczegóły o Arturze nie jej nie obchodziły.

— Wyobrażam sobie, jaką to jest dla państwa pociechą—rzekła, bawiąc się bransoletką—moje dzieci wcale nie miały zdolności. Pan Artur zapewne jest jedynakiem?

Zuzanna siedziała w milczeniu, zdumiona niezwykle panowaniem nad sobą tej kobiety. Czyż podobna było posuwać do takich granic sztukę udawania? Wszakże historia Artura znana była dobrze w całej okolicy i lady Damerel nieraz musiała o niej słyszeć. Pani Trevena powzięła rozpaczliwe postanowienie: ona musi w ystawić na próbę tę kobietę i ostatecznie przekonać się o prawdzie. Jeżeli lady Damerel jest istotnie matką Artura, kobietą, którą doktor Franklin nazywał potworem, zdradzi się choćby na jedno mgnienie oka.

— Widzę, że pani nie wiesz o pochodzeniu Artura—rzekła dobitnie, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem—on nie jest naszym synem, choć nosi nasze nazwisko. Urodził się w Andemat z niewiadomych rodziców i doktor Franklin poradził nam, żeby go wychować jako własne dziecko.

Lady Damerel pobladła straszliwie i konwulsyjnym ruchem chwyciła się poręczy krzesła. Nawet roztargniony profesor zauważył zmianę w jej twarzy i zapytał, czy jej nie słabo.

— Nie, dziękuję panu—odrzekła, zmuszając się do uśmiechu—choroba mego męża zdenerwowała mnie bardzo... Nie wiedziałam istotnie, że... pan Artur nie jest pani synem—dodała z wysiłkiem, zwracając się do Zuzanny—w każdym razie masz pani... z niego pociechę.

Urożowane jej policzki znów trupa powlokły się bladocią: walczyła z sobą i chętnie przyjęła kieliszek wina od profesora, który nie mógł zrozumieć, dlaczego Zuzanna nie okazuje jej najłżejszego współczucia i mierzy ją zimnym, ostrym wzrokiem.

— Szkoda, że lady Damerel nie kazała zaprzężyć do powozu—rzekła chłodno—gdyby tu był *mój syn*, zarazbym go posłała do pałacu.

Mój syn—nie można było wątpić o znaczeniu tych słów, z niezwykle wymówionych przyciskiem. Lady Damerel odjęła rękę od twarzy i obie kobiety spojrzały sobie w oczy; przeżalenie i nienawiść malowały się w spojrzeniu wielkiej damy, której tajemnica została odkryta; groźbą i pogardą tchnął surowy wzrok Zuzanny. Dwie matki sądzone niegdyś przez króla Salomona musiały tak samo patrzeć na siebie. Obie kobiety—matka co sprzedawała krew własną i matka co obce przytuliła dziecię, tém jednym spojrzeniem wypowiedziały sobie wojnę nieubłaganą, wojnę na śmierć i na życie.

W kilka chwil później lady Damerel zupełnie już zapanaowała nad sobą i powstając, rzekła do profesora:

— Deszcz już ustaje, dłużej nie będę się więc narzucała państwu. Z wiosną wyjedziemy zapewne do wód niemieckich, jeżeli zdrowie sir Karola się nie polepszy. Żegnaj państwa, proszę pozdrowić odemnie waszego przybranego syna.

Zuzanna lżej odetchnęła; było rzeczą oczywistą, że ta wielka pani nie zechce przyznać się do swego dziecka, a tém mniej walczyć o niego. Obawa skandalu wzięła górę nad instynktem macierzyńskim, pani Trevena mogła spać spokojnie, lady Damerel nie myślała odbierać jej syna.

Burza przeszła i minęła, ale wstrząśnięty do głębi organizm Zuzanny nie mógł już do dawniej wrócić równowagi. Ciemne jej włosy w przeciągu kilku miesięcy zupełnie posiwiały, lica, kwitnące dotąd rumieńcem zdrowia, znacznie pobladły i dawna wesołość także ją opuściła. Kiedy na letnie wakacje Artur wrócił do domu, dumny i tryumfujący z ukończenia kolegium w Winchester, z trwogą i zdumieniem zauważył zmianę w twarzy matki.

— Ojcie—rzekł do profesora, który niczego się nie domyślał—jak ja odjadę do Oxfordu, trzeba żeby tu kto był, coby mógł pielęgnować mamę i dotrzymywać jej towarzystwa. Myślałem o Nelli, tylko, że to jeszcze dziecko.

Profesor skwapliwie uchwycił się tej myśli i jeszcze przed odjazdem Artura Nella przyjechała do Tawton Magna. Pozór istotnie miała jeszcze dziecienny ale duszę i serce kobiety. Panna Grogan chlubnie wywiązała się ze swego zadania i wychowała swoje chrzestną córkę na dzielną, miłą i rozumną dziewczeczkę. Twarda szkoła sieroctwa dokonała reszty i z Nelli każda matka mogłaby być dumną. Cicha i pracowita, skromna i rozsądna, gorliwa w wypełnianiu swoich obowiązków, wkrótce stała się ulubienicą stryjostwa. Błada była i szczupła jak dawniej ale prześliczne czarne oczy, matowa cera

i wdzięk rozlany na drobnej twarzyczce wynagradzały brak regularnych rysów i świeżych rumieńców.

— Nella bardzo wyładniała, nieprawdaż mateczko? — rzekł Artur, który jęj nie widział lat kilka — nie ma wprawdzie tak wspaniałej kibici jak lady Damerel ale jest bardzo zgrabna i ma wdzięczne ruchy. Co do mnie, nienawidzę wysokich kobiet, najwięcej mi się podobają takie małe jak moja mateczka — dodał pieszczotliwie.

Jakże słodkiem dla matki jest pochlebstwo z ust syna, zwłaszcza kiedy ten syn ma lat dziewiętnaście, sześć stóp wzrostu i świeże młodzieńcze oblicze, tętnące życiem, zdrowiem i wesołością. Zuzanna uwielbiała swego syna i nie dziwiła się wcale, że Nella podzielała to uczucie. Artur od wielu lat był dla sieroty ideałem piękności, dobroci, rozumu i dzielności; on tego nie spostrzegał, bo niewiele zwracał na nią uwagi, ale pani Trevena odgadła zaraz, co się działo w serduszkach dziewczęcia.

Uważała to za rzecz naturalną, że wszyscy kochali i uwielbiali jęj chłopca, to też kiedy po jego odejściu Nella spotkała ją płaczącą w opustoszałym pokoju syna i z czułością córki poniosła do ust jęj rękę, Zuzanna pochwyciła ją w objęcia i przycisnęła do swego serca, w którym odtąd znalazł się kącik i dla sieroty.

Niedługo jednak stryjenka mogła korzystać z jęj tkliwych starań i opieki, przed samem Bożem Narodzeniem panna Grogan niebezpiecznie zachorowała i wezwała Nellę do siebie. Pojechała natychmiast, pomimo że Artur miał przybyć za dni kilka z Oxfordu, pojechała, żeby ze wzruszającym poświęceniem pielęgnować swoją opiekunkę. Choroba przeciągnęła się długo i zakończyła się śmiercią; kiedy maj zielenią i kwieciami ustroił świat cały, panna Grogan nazawsze zamknęła powieki.

Nella była przy niej do ostatniej chwili, Nella odprowadziła ją do grobu, łzami żalu i wdzięczności oblewając mogiłę zaniej kobiety, „mojey przyjaciółki”, jak napisała do stryjostwa.

— Pocziwe, kochające dziewczę! — z rozrzewnieniem rzekła pani Trevena, odczytawszy list Nelli — możebyśmy ją wzięli do siebie, Augustie?

— Jaknajchętniej, moja droga — skwapliwie zawołał profesor — ona wszędzie potrafi być pożyteczną.

Wysłano w skutek tego list jaknajserdeczniejszy, zapraszając sierotę pod gościnny dach stryjostwa; wkrótce nadeszła odpowiedź, ku wielkiemu ich zdziwieniu odmowna. Nella czule im dziękowała, ale nawet od nich, od krewnych najbliższych nie chciała przyjąć łaski.

„Wam i biednej mojey nieboszczce winnam wykształcenie, jakie odebrałam — pisała — nigdy nie potrafię wyrazić wam mojey wdzięczności za dobrodziejstwo, które mi pozwoli teraz na własne zapracować utrzymanie. Mam zamiar zostać nauczycielką i chcę natychmiast starać się o miejsce.”

— Niepodobna! — zawołał profesor, nie mogąc znieść tego, żeby ostatnia z Trevenów miała po obcych tulać się domach.

— Niepodobna! — napisał z Oxfordu Artur.

— Niepodobna! — poważnie dodała pani Trevena, której tklive serce ścisnęło się na myśl, czém życie nauczycielki byłoby dla tей młoděj, szesnastoletniej dziewczyny.

Przełożenia ich byłyby jednak pozostały bez skutku wobec silnego postanowienia Nelli, gdyby przypadek nie był wziął na siebie rozstrzygnięcia trudności. Do proboszcza, pana Hardy, zjechała właśnie owdowiała siostra z ośmioletnią córeczką i, dowiedziawszy się o zamiarze Nelli, prosiła, czyby panna Trevena nie zechciała być tak dobrą i dawać codziennie lekcye jęj dziewczynce. Państwo Trevena dołączyli swoje prośby i sierota ustąpiła.

Kiedy Artur przyjechał na wakacje do domu, zastał już tam Nellę; mieszkala stale u stryjostwa i codziennie na kilka godzin szła na probostwo uczyć siostrzenicę pana Hardy. Skromna żałobna suknia nie ujmowała jęj wdzięk, nie dziwnego też, że niebawem wszyscy ją pokochali, a najwięcej pani Trevena, której słabe zdrowie coraz większych wymagało starań. Nella stała się dla domu prawdziwą Opatrznością i tak była przez cały dzień zajęta, że Artur bardzo mało z nią pozostawał i użalał się na to przed matką, która chcąc go zadowolić,

co wieczór wysyłała ich oboje na przechadzkę. Wracali śmiejąc się i żartując, a młodzieńcza ich wesołość niby promień słoneczny rozświecała życie Zuzanny. Czula że się starzeje, a do ciężaru wieku i słabnącego zdrowia przyłączyła się jeszcze tajemna troska o swój skarb najdroższy — o Artura.

Obawiała się ze strony lady Damerel jakiego zuchwałego kroku w celu odzyskania syna; obawiała się, czy jaki nieszczęsny traf nie odkryje przed światem tajemnicy jego pochodzenia, stała się nerwową, drażliwą, przewidującą same nieszczęścia i smutek.

Nietrudno było odgadnąć historią lady Damerel. W piękněj śpiewaczce zakochał się ubogi szlachcic i zaślubił ją, wymagając naturalnie, żeby opuściła teatr. Samolubnej bez serca kobiecie nie wystarczało jednak ciche szczęście domowe; przyzwyczajona do hołdów i oklasków, do życia bez troski pełnego wrażeń i przyjemności, tęskniła do świata i do sceny, nienawidziła obowiązków, które ją przykuwały do domu. Dzieci były dla niej tylko ciężarem i zawadą, mąż niezdolnym tyranem, dla którego nie czuła ani przywiązania, ani nawet wdzięczności; dom posępnym więzieniem, zkad jednej chwili rada była uciec. Uciekla też skoro tylko nadarzyła się sposobność; bez żalu i wyrzutu sumienia najświętsze potargała związki, żeby znowu wstąpić do teatru, zbierać tryumfy i oklaski. Dziecko pomiejszało jęj szyki i zmusiło do zerwania kontraktu, którym się zobowiązała śpiewać przez rok cały; ztąd taka zawzięta nienawiść do niewinnego niemowlęcia, ztąd pragnienie pozbycia się go jakimby sposobem. Wieść o świetnym spadku, jaki w skutek śmierci sir Eustachego Damerel, dostał się jęj mężowi, skłoniło ją do powrotu pod dach jego; sir Karol był tak słaby, że przyjął zbiegłą żonę, która niebawem owdowiała wszystkiemi i z męża zrobiła niewolnika swoich zachcianek i kaprysów.

List doktora Franklina, który donosił o zniszczeniu wiadomego pisma i zapowiadał rychłą swoją bytność w Anglii, nieco uspokoił strapioną Zuzannę. Wiedziała, że w każdym wypadku może liczyć na zanego przyjaciela i przestała się martwić.

A właśnie nadchodziła dwudziesta piąta rocznica jęj ślubu, srebrne wesele obchodzone cicho lecz uroczystie w kochającym kółku rodzinnem. Urok słodkich wspomnień rozpromieniał w tym dniu lica podeszłej pary, oboje mieli łzy rozrzewnienia w oczach, a Zuzanna z rumieńcem na wychudłej twarzy opowiadała „dzieciom” szczegóły pierwszego spotkania z tym, który miał zostać jęj mężem. Dzieje tей miłości były bardzo proste: dwoje młodych pokochało się i zamieniwszy z sobą pierścionki, czekało wiernie lat kilkanaście, aż losy pozwolą im się pobrać. Była to historia bardzo zwyczajna, mimoto jednak Artur słuchając jęj zarumieniał się mocno, a Nella dziwnie pobladała. Nikt tego nie zauważył, bo tak profesor jak Zuzanna byli zanadto wzruszeni, żeby śledzić wyraz twarzy tamtych dwojga.

Samym już wieczorem wpadł do nich pan Hardy, przynosząc przyjaciółom wieść o pomyślnym wypadku, jaki go spotkał; dano mu bardzo korzystne probostwo o kilka mil od Tawton Magna. Zacierał teraz ręce z radości i śmiejąc się, czule spoglądał na Nellę.

Pani Trevena oddawna już uważała, że pan Hardy daleko częściej bywał teraz u nich i zawsze prawie odprowadzał z lekcji Nellę do domu. Nie było to bez znaczenia i Zuzanna domyślając się celu jego zabiegów, serdecznie ucieszyła się z tego odkrycia. Wiedząc, jak ciężkim i gorzkim jest chleb nauczycielski, pragnęła gorąco ustalenia losu sieroty i była pewną, że Nella z wdzięcznością przyjmie rękę pana Hardy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu, był bardzo miły, zany i rozumny, posiadał dostatnie utrzymanie, dobre stosunki, cóż więcćj można było pragnąć? Była wprawdzie między nimi znaczna różnica wieku, ale Nella, poważna i przedwcześnie dojrzała w twardej szkole nieszczęścia, bez grosza posagu, nie mogła tak dalece przebieierać.

Nagle Zuzanna drgnęła, jak gdyby nożem w serce ugodzona: wymówiono przy niej nazwisko lady Damerel.

— Czy widziałeś już milady, Arturze? — pytał pan Hardy — dziś ją właśnie spotkałem. Pytała mię co słyhać u państwa i prosiła, żebyśmy obaj przyszli wieczorem. Pragnie usłyszeć trochę muzyki, tembardziej, że nikogo niema w pałacu. Sir Karolowi jest wiele gorzej i podobno nie pożyje długo, Biedna lady Damerel!

— Biedna lady Damerel! — powtórzył profesor — położenie jej zmieni się bardzo po śmierci męża. Cały majątek przejdzie na jakiegoś dalekiego krewnego, którego ona nienawidzi.

— Czy pójdziesz dziś ze mną do Tavton Abbas, Arturze? — zapytał pan Hardy.

— Nie — stanowczo odrzekł młodzieniec — lady Damerel nie mię nie obchodzi, choć śpiewa tak pięknie. Ja lubię być tylko z mateczką — dodał pieszczotliwie.

— Powinieneś iść, Arturze — zauważył profesor, któremu lady Damerel mocno imponowała.

— Idź, Arturze — rzekła pani Trevena, zaciskając drżące ręce.

Ogarnęła ją nagła rozpacz. Kiedy już nie można tego uniknąć, niech on sam osądzi tę kobietę bez serca i sumienia, niech sam wybierze między niegodną rodzicielką, co go porzuciła, a tą, co była dla niego prawdziwą matką.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Sprawy wschodnie znów na pierwszy plan występują. — Zgromadzenie narodowe bułgarskie. — Kandydaci bułgarscy na tron książęcy. — Zmiana rządu w Serbii. — Gabinet Risticza. — Znaczenie tego przewrotu dla Austrii i dla Bułgarii. — Stan rzeczy w Berlinie. — Konwencja angielsko-turecka i położenie anglików w Azji.

Dziwnie się zaprawdę plecie, na tym politycznym świecie; a kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i umrze a nie będzie umiał w to ugodzić! — Zaledwie pozbyto się jen. Boulanger, a wraz z nim cofnięto nieco w głąb cisnącą się na pierwszy plan „kwestyą zachodnią”, alisci wysuwa się naprzód „kwestyą wschodnią”, która na jakiś czas przycichła była i zdrętwiała niejako. Tutaj pierwszy impuls dali bułgarzy, niecierpliwiący się tymczasowością swego położenia; oni to prawdopodobnie skłonili Portę do rozesłania wiadomej noty w sprawie bułgarskiej, a gdy widzą, że krok ten żadnego nie obiecuje rezultatu, we własne ręce biorą inicjatywę i na dzień 3 lipca zamierzają zwołać „wielkie” zgromadzenie narodowe do Tyrnowy.

Zgromadzenie to wywołane niby zostało sprawą pożyczki, której udzielają Bułgarii kapitaliści wiedeńscy z Länderbankiem na czele, żądając atoli poręczenia jej przez reprezentację narodową; ale naturalnie skoro się zbierze ta reprezentacja, nie podobna aby nie podniesiono kwestyi przedłużenia pełnomocnictw rejency, a ewentualnie i kwestyi wyboru panującego księcia. Toć ciągle obiegają wieści o rozmaitych kandydatach, forytowanych jakoby na tron przez opinią publiczną w Bułgarii. Naprzód wymieniają uparcie księcia Aleksandra Battenberga, który jednak stanowczo odrzuca wszelkie pokusy i propozycje; na drugiem miejscu stoi książę Koburski, a wreszcie książę d'Alençon.

Są to atoli wszystko jedynie wieści, a co najwyżej intencje, których ziszczenie się od wielu bardzo zależeć będzie okoliczności, a w jakim kierunku prawdopodobnie okoliczności te się potoczą, wskazuje to, co się dzieje w Serbii.

W Serbii nastąpiła zupełna zmiana rządu. Król przyjął dymisy gabinetu Garaszanina, a nie mogąc w stronnictwie zachowawczem znaleźć nikogo, kto by się chciał podjąć złożenia nowego gabinetu, zmuszony był w końcu zwrócić się do Risticza, który po długich konferencyach, położywszy pewne warunki ze swjej strony, przyjął mandat od króla i ukonstytuował już nowe ministerium.

Dzienniki austriackie pocieszają się tém, jakoby Risticz zobowiązał się nie zmieniać kierunku polityki zagranicznej; ale złudna to pociecha, w którą one same nie wierzą: polityka austriacka na półwyspie Bałkańskim stanowczo ciężką poniosła klęskę. Barwa polityczna Risticza jest dobrze znana; jest on

zdeklarowanym wrogiem Austrii, to też między warunkami, które przed utworzeniem gabinetu królowi postawił, na pierwszym miejscu stoi uwolnienie Serbii od ekonomiczno-politycznych wpływów Austrii i Niemiec.

Austria więc musi usilnie pracować nad odzyskaniem swego wpływu na Serbię, a ten stan rzeczy oddziała także poważnie na położenie Bułgarii, dla której sąsiedztwo Serbii czerpiącęj natchnienia z Petersburga będzie miało zupełnie inne znaczenie od sąsiedztwa Serbii z Wiedniem trzymającęj.

Jednym słowem, zmiana rządu w Serbii jest najważniejszym wypadkiem politycznym obecnej chwili; znaczy ona zupełny przewrót w stosunkach na półwyspie Bałkańskim i zdaje się wskazywać, że kwestya bułgarska zbliża się do rozwiązania ale nie w duchu stronnictwa narodowego bułgarskiego, ani w kierunku życzeń austriackich.

Oprócz kwestyi serbskiej, świat polityczny w ciągu ubiegłego tygodnia zajmował się ciągle z natężoną uwagą stanem zdrowia dwóch kolejnych po sobie dziedziców tronu niemieckiego. Telegramy berlińskie, w miarę jak donosiły o poprawie lub pogorszeniu, sprawiały niepokój lub ukojenie i wywoływały podwyżkę lub zniżkę na giełdach europejskich. Ostatecznie w stanie zdrowia cesarza Wilhelma nastąpiło polepszenie, o ile to możebnem jest u starca, którego już z konieczności *marasmus senilis* ogarniać musi.

O chorobie następcy tronu najrozmaitsze obiegają wieści; podróż do Londynu na uroczystości jubileuszowe, której już miano zaniechać, przysła już do skutku. Syn nie puszczałby się w drogę, gdyby ojcu blizkie zagrażało niebezpieczeństwo.

Konwencja angielsko-turecka w sprawie egipskiej pozostanie prawdopodobnie martwą literą, gdyż Francya i Rosssya stanowczo się na nią nie zgodzą. Było to z góry do przewidzenia; to też zarówno tę konwencję, jak roboty angielskie w Bułgarii, podbudzające bułgarów do samoistnego działania, uważają powszechnie tylko za chęć wywołania dywersyi w Europie, celem ratowania położenia anglików w Azji Środkowej. Tam bowiem Afganistan zdaje się być stanowczo dla Anglii straconym, a obrona Indyj rzeczywiscie do samych granic indyjskich cofniętą zostaje. Ten system obrony, który anglicy bardzo pięknie na papierze wyrezonowali, jest poprostu ostatecznością, która w praktyce bardzo smutno wyglądać będzie.



621) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jaki wpływ wywiera świeże powietrze na apetyt?

Krew składa się z materii białkowej, zwanęj plazmą, i z organicznych czerwonych ciałek we krwi pociąga za sobą zubożenie samej krwi, czyli znaczenia białych komórek we krwi, wiadomo jednak na pewno, że czerwone mają na celu rozprowadzenie do najodleglejszych okolic ciała tlenu pochłoniętego przez płuca.

Tak plazma jak i komórki mogą uleść chorobie, skutkiem czego nastąpić może zwodnienie pierwszej i zmniejszenie się liczby ostatnich. Zmniejszenie się liczby czerwonych ciałek we krwi pociąga za sobą zubożenie samej krwi, czyli anemię, która w ciągu tego stulecia stała się plagą dla niektórych warstw ludności. Nie znamy rzeczywistych przyczyn wpływających na to zubożenie krwi, anemia bowiem prześlada tak dobrze osoby mieszkające na wsi jak i w mieście. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę tę okoliczność, że osoby mieszkające w mieście częściej skarżą się na brak krwi od wieśniaków, to nie można zaprzeczyć, że wpływają na to poniekąd warunki cywilizacyjne i socyalne, w jakich żyjemy.

Długie doświadczenie i obserwacje przekonały, że całe nasze zdrowie i wrażliwość systemu nerwowego zależne są bezpośrednio od wpływu świeżego powietrza na organizm. Jeżeli zważymy, że każde uczucie, każdy objaw życiowy i wszystkie funkcje ciała dokonywają się pod wpływem działalności nerwowej, to pojmimy jak ważnym jest ten czynnik atmosferyczny. Powietrze jest także do pewnego stopnia pokarmem; i w rzeczy samej komórki krwiste rozprowadzają pochłonięty z powietrza tlen po całym ciele; jeżeli więc przebywać będziemy w powietrzu złym, zużytem, to dowóz tlenu do ciała będzie niedostateczny i w końcu natura krwi samęj się zmieni.

Pierwszém widoczném następstwem tego braku powietrza jest zmniejszenie się apetytu, bo osłabione nerwy żołądka przestają być wrażliwe na uczucia głodu. Ten brak apetytu, wzrastający stopniowo do zupełnego zubożenia i a nawet wstrętu do wszelkiego pokarmu, pociąga za sobą stopniowe słabnienie siły trawienia, tak, że człowiek przywyka do coraz mniejszej ilości pokarmów, niedolnych ciała dostatecznie odżywiać. Ludzie tacy instynktowo szukają posilnych pokarmów; bardzo często miewają apetyt na coś szczególniejszego, coby się zjadło ze smakiem, lecz sami nie wiedzą na co.

Wiadomo, że pokarmy nasze składają się z obfitujących w azot albuminatów (mięso, mleko) i tak zwanych węglowodorów (tłuszcz, krochmal), których w zwykłych warunkach spożywamy około 450 gramów dziennie, w stosunku 120

do 330. Stosunek ten jest bardzo ważny, od niego bowiem zależy równowaga sił i zdrowia. Jeżeli bowiem spożywać będziemy małą ilość pokarmów mięsnych, jak to czynią anemicy, nie dodając do nich jarzyn i pokarmów zbożowych, to pozabawimy ciało niezbędnego do odnawiania nerwów i kości fosforu i wapna, zawartych właśnie w pokarmach zbożowych i roślinnych.

Obok innych przyczyn nie należy spuszczać z oka i wpływów gnębiących, psychicznych. Wpływy te wielką rolę grają w miastach, gdzie tysiące jednostek boryka się nieustannie z nędzą, z głodem i ubóstwem swą krew przekazuje potomstwu.

622) PYTANIE: Jak się należy zachować, aby mieć wzrok dobry?

Ze skarbca prawd. Sympatyje ludów i ludzi zmieniają się tak nagle jak kierunek wiatru; trzeba z nich czemprowadzić korzystając, jeżeli wieją dla nas pomyślnie.

S Z A R A D A.

I pierwsza z trzecią, wygłosi miano Instrumentu, na jakim grywano;
Czwarta zaś z piątą, takiego zwierza wymienia,
Którę tu znać możemy zaledwie z imienia;
A że wszystka miły daje karm dla ludzkiej wiedzy,
Tego nie zaprzeczaj obcy, tém bardziej Koledzy.

Szarada z N-ru 22. Szarada.

R E B U S.



Rebus z N-ru 23. Kontentować się trzeba własnym majątkiem.

Gość. — Czy to świeża, czy stara ryba?

Gospodarz. — Pan tego nie czuje?

Gość. — Nie.

Gospodarz. — Kiedy tak, to dla pana wszystko jedno — stara, czy świeża.

Nemrodzi warszawscy.

Pierwszy strzelec. — Zając idzie!

Drugi. — Niech idzie, przygotowany jestem na jego napad.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Odróżnić wyrób żelazny od stalowego. Na przedmiot poddany wypróbowaniu trzeba wylać kilka kropel kwasu siarkowego. Po minucie miejsce kwasem zalane zmęć wodą; jeżeli przedmiot jest z żelaza, to będzie na nim plama biała-szarawa, jeżeli zaś ze stali — plama czarna.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Rynki zbożowe przedstawiały w ciągu ubiegłego tygodnia usposobienie dosyć chwiejne, mniej więcej jednak utrzymały się ceny zeszłotygodniowe. W Nowym Yorku i w Anglii dążność do zwyczajki osłabła; z Austrii i Węgier dużo zboża żyta; w Gdańsku mimo małego ożywienia, ziarno z Królestwa Polskiego po dość wysokich cenach sprzedawano.

Widoki dla naszego jarmarku wełnianego są wcale pomyślne. Na jarmarkach w Prusach zachodnich, w Poznańskim i na Szląsku usposobienie panowało mocne; ceny podniosły się w porównaniu z zeszłorocznymi, o 4—7½ talarów na cetnarze. Kontrakty w Londynie, nadające przeważnie ton handlowi wełnianemu w Europie, odbywają się również przy usposobieniu mocnym.

Na warszawskim rynku poczyniono wszelkie przygotowania na przyjęcie towaru, który jednak dotąd skąpo nadchodzi, głównie zapewne z powodu panującego zimna i deszczów, które strzyż, mycie i suszenie wełny utrudniają. Ponieważ okoliczności te powtarzają się prawie corocznie od pewnego czasu, przeto coraz mocniej kielkuje myśl o potrzebie opóźnienia przynajmniej o dni kilka naszego jarmarku wełnianego.

Na placu jarmarcznym panuje już ruch dość ożywiony; można nawet zaznaczyć tranzakcje, przeważnie na cele spekulacyjne, które mimo wysokich żądań producentów, doszły do skutku. W przybliżeniu, jak dotąd, podwyżka od ceny zeszłorocznej zapowiada się na 6—10 talarów. Fabrykanci nabyli także już kilka partij wełny, wyłącznie prawie wysokich gatunków.

Giełdy trzymały się ciągle brzmienia wiadomości o stanie zdrowia cesarza Wilhelma; mianowicie giełda berlińska, która zresztą najczulszą okazywała się odnośnie do wartości rosyjskich. Ruble, które d. 7 b. m. stały 185.60, poczęły następnie spadać, stając najniżej d. 11 b. m., bo 182.40; atoli d. 13 stanęły już znowu na 183.60, a d. 14 na 184.60.

Warszawa, d. 13 czerwca 1887 r. 50/0 Listy Zast. (za rs. 100) 101.—40. Listy Zast. ser. II lit. A. 101.40.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.40.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.50.—Listy Zast. M. W. III ser. 98.60.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.40.—Marka niem. kop. 54½/3; zł. r. k. 87½/3; frank k. 45¼/4; półimp. rs. 9 k. 12; wartość rubla w zlocie k. 56½/6.

Targ warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 25.—Żyto rs. 4 k. 87.—Jęczmień rs. 4 k. 20.—Owies rs. 2 k. 80.—Groch rs. 6.

— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k. 30.—Żyto k. 80.—Jęczmień k. 69.—Owies k. 81.—Groch k. 84—Gryka k. 80.



Dobrym sercem polecamy nieszczęśliwą wdowę, matkę sześciorga dzieci, która nie posiadając żadnego funduszu a pozbawiona zdrowia nie poddała dalej ciężkim obowiązkom bez pomocy ludzi szlachetnych. Jak matka ta umiała dzieci wychować, pomimo niedostatku, może zaświadczyć syn jej najstarszy, wzorowy uczeń kl. V-ej, który korepetycjami zarabia na mieszkanie dla rodziny. Dziecko już jest opiekunem matki i braci, ale siły tego małego dobrodzieja wkrótce się wyczerpią, nadmiar pracy obezsilni jego wątłe ciało. Ofiary można składać na ręce p. Józefa Kolańskiego przy ulicy Zapiecek, n-r domu 15, mieszkania 9; tam wskaż rodziń, za którą się wstawiamy.

Podkłady szklane. (Inżynierowi w K.) W Ameryce podobno już są linie kilkusetmilowe kolei żelaznych, na których podkłady drewniane zastąpiono szklanymi, ale nie umiemy wymienić, która linia zaprowadziła tę reformę. Podobno także wchodzą w użycie podkłady złożone z dwóch tafli szklanych, połączonych z sobą sztabą żelazną; podkład taki posiada trwałość, elastyczność i jest tańszym od drewnianego. Na kolejach wychodzących z Warszawy prób z temi nowościami dotychczas nie robiono.

Post-scriptum.

P. R. K. w Paryżu. Odpisaliśmy zaraz lecz nie mając dotychczas obiecanej fotografii, przypuszczamy, że list w drodze zaginął. Powtarzamy swą prośbę i przepraszamy za nieporozumienie, na którym myśmy najwięcej stracili. Polecamy się czcigodnej przyjaźni. — **Choremu na serce.** (P. Z. T. st. Łask.) Nie bierz nas pan za szarlatanów; jakżebyśmy śmieli radzić na chorobę tak niebezpieczną, możemy tylko ostrzedz: jaknajprędzej do doktora! — **Nauczycielce z prowincji.** Z dawania lekcji muzyki można wyżyć w Warszawie, ale trzeba mieć ustaloną opinią aby za godzinę brać po 2 rs.; biorą po pół rubla a nawet po dwa złote. — **Ks. Julian Grabowski.** (Ks. Rus. Ter. w Wol.) Zaufaliśmy doniesieniu podpisanemu całym nazwiskiem; niepodobna ustrzedz się mistyfikacji. Dowiedzieliśmy się poniewczasie, że ks. J. G. nie był proboszczem w Sierpcu, ani takim wymownym kaznodzieją za jakiego przedstawił go nam jego przyjaciel; i inne pochwały są tylko wymysłem, jednak dla wielu względów już prostować ich nie będziemy. — **Niecierpliwemu w Warszawie.** Nigdzie nie wymieniliśmy terminu na styczeń r. b., więc zarzut upada a o powodach opóźnienia można się dowiedzieć w redakcyi naszej, którą sz. panu jako miejscowemu łatwo nawiedzić. — **D-r Kaltenbach w Kr.** Prosimy o wiadomość, czy nasze pismo już dochodzi regularnie, przez księgarnię Friedleina; tą samą drogą przesłaliśmy wszystkie numery od początku r. b. — **P. Z. Sar. w Kr.** Czy komplet już odebrany? Artykuł p. G. jest ciekawy i gruntowny ale może znaleźć pomieszczenie tylko w piśmie wyłącznie politycznym. Wątpimy, czy będzie pożądanym dla jakiego wydawnictwa warszawskiego. — **Sz. ks. Kowalewski w Płocku.** Za fotografią i opis serdecznie dziękujemy; usilnie staraj się będziemy aby z nich pismo nasze skorzystało. — **P. N. N.** Sprawa bolesna i trudna do rozwiązania. Mąż taki, to człowiek nieuczciwy; nie chcemy dobierać określeń więcej dobitnych. Przykro nam, że gustując w naszym piśmie, gustuje zarazem w złych obyczajach; dwoista w nim natura, człowiek to bez woli, bo widocznie czuje, że źle robi a nie ma siły do panowania nad sobą. Moralizowanie nasze byłoby grochem rzucanym na ścianę; radzimy tylko cierpliwość, dumę godną uczciwej żony a wreszcie szukanie pomocy moralnej u jakiej osoby szanowanej powszechnie, u duchownego, który jest lekarzem duszy. Odradzamy wszelkie kroki gwałtowne, one doprowadziłyby do najsmutniejszych rezultatów; namiętność podrażniona odważa się na wszystko, okiełznać ją trzeba i można siłą moralną. Owę p. Modesty już nie nie poprawi, to istota zgubiona. — **P. A. Chodyński w Kaliszu.** Wizerunek ks. Damalewicza posiadamy; pomieścimy go wraz z artykułem, uzyskawszy zgodę na skrócenie. — **P. L. Par. w P.** Odpisaliśmy. Od czasu do czasu możemy pomieszczać, ale na stałą rubrykę już nie mamy miejsca. Za pamięć dziękujemy. — **Warszawianie.** Obrazek pomieścimy. Niech z honorarium będzie pierwsza cegiełka na schronienie dla „malutkich”. — **Kameleon, w War.** Nie będą drukowane. Myśl b. dobra: ów list z kraju rodzinno adresowany do artystki rozkochanej w niemieckim baronie. Pracować warto. — **Podlasiankę** prosimy o adres dokładny, którego w liście niema. Bez tego nie możemy dowodów pamiętkowych odesłać. S. p. Sierakowska, ofiarodawczyni, mieszkała w Płocku. Reszta w liście. — **P. M. B. st. Pr.** Rękopisma wręczyliśmy redaktorowi „Przyjaciela Dzieci”, dalsza decyzja od niego zależy; raczy się sz. pani wprost skomunikować. Co do owęj matki nieszczęśliwej, zrobimy co jest w naszej mocy; wstawimy się za nieszczęśliwą do osób wskazanych, może prośba nasza coś pomoże. Biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej rozda je jałmużnę najbiedniejszym; prawda, że i ten może być najbiedniejszym, który jeszcze ma poduszkę pod głową, ale biuro ma za zadanie ratować najpierw tych, którzy śpią na barłogu. Siostry miłosierdzia rozdałyby miliony, gdyby je tylko miały, ale rozporządzając drobnymi kwotami, muszą ratować nędzę najstraszniejszą. — **P. M. Taraszkiewicz w P.** Pergamin z podpisem króla Jana III i medal uniwersytetu wileńskiego powierzyliśmy znawcy starożytności do ocenienia. O rezultacie doniesiemy. Na zamianę portretów zgoda. — **P. A. Witkowski w W.** Portrety: Sobieskiego, Jadwigi, portret Rycerza wyjdzie w r. b. wraz z portretem Kraszewskiego. — **Amatorowi manny w W.** Niepodobna żądać od kuchni tanich, aby wszystkim podniebieniom dogodziły; pan żąda manny, innemu się zachciewa karczochów, a innemu jeszcze ślinka płynie do raków nadziewanych. Kto ma do

dyspozyt tylko kilka złotych, ten niech Bogu dziękuje, że może wybierać w takim sutym jadłospisie, jakim kuchnie tanie swoich gości fetują. Czyż to mało: mięso wołowe, wieprzowe, cielęce, baranie, flaki, kielbasa, ryby, kapusta, kasza jaglana, krakowska, gryczana, ryż, makaron, jaja, grech i t. p. Nie tylko obiad zwyczajny można sobie sprawić z tych zapasów ale dodawszy grzyby i ryby łatwo uwarzyć biesiadę; a na weselne gody znajdzie się w kuchni tanię polędwica, śmietana, ozór i na amatora... gęsi! — **Szczęście małżeńskie.** (P. S. W. w Płocku.) Psuje się tam najłatwiej, gdzie żona stroi się modnie a mąż gra w karty... na kredyt. Jedno na drugie się ogląda, kto dłużni zapłaci.

a bohaterka powieści, młode dziewczę, córka Grzymultowskiego, należy do najpiękniejszych postaci w naszej literaturze powieściowej. „Krzyżowcy” dla czytelników starszych i młodszych są książką wielce przyjemną i pożyteczną. — **P. Emil Szpitzbart w B.** Najlepiej udać się po informacje do Naczelnika straży ogniowej ochotniczej w Piotrkowie (gub. Piotrkowska). Straż to najstarsza w Królestwie, wybornie zorganizowana i posiadająca drukowaną instrukcję, która była pomieszczoną także w kalendarzu strażackim. Drukowanie instrukcji w naszym piśmie przyniosłoby korzyść osobom interesowanym ale nie ogłowi czytelników. — **Wizerunek** cudownego obrazu Bolesnej Matki Zbawiciela i kościo-

„CARMEN”.



.... Pastuchy z arkanami pobiegli w pogoń za bykiem, który nie widząc żadnej zapory pędził ku otwartej werendzie.

Rysunek J. Ryszkiewicza.

Przewodnik.

Wiara i niewiara w stosunku do szczęścia, przez ks. Z. Szczęsnego (P. J. Niewęgl. w S.) rs. 2 k. 60 i porto. — Wydawnictwem książek ludowych zajmuje się księgarnia K. Prószyńskiego; tamże jest główna ekspedycja „Gazety świątecznej”. Księgarnią dzieł dla ludu otworzył także J. Grajner, b. wydawca i redaktor „Zorzy”. Za wydawnictwa innych firm nie ręczymy; szpetności i bajd, o jakich sz. pan wspomina, wychodzi mnóstwo; obalamużają one proste umysły, lecz wydawców to nie boli — im idzie tylko o zarobek. Wszelkie książki żądane możemy przesłać po cenach księgarskich. — **Krzyżowcy, powieść historyczna z czasów Jana Sobieskiego** (P. Z. Kl. w Baku). Rs. 1 k. 50. Powieść wielkich zalet literackich i historycznych; najszlachetniejsze uczucia są w niej poruszone, Sobieski odmalowany wspaniale, dwór jego i królowa jakby z portretów zdjęci,

łów, dawnego i nowego, w Sulisławicach, wyszedł staraniem czcigodnego ks. C. Obrazek, ładnie litografowany w Warszawie, jest miłą pamiątką. — **Lampa elektryczna.** (P. E. Jezierska w S.) Odpowiedź i cennik prześle zakład elektro-techniczny p. Lenczewskiego, ul. Marszałkowska. Różne są wielkości, systemy, więc i różne ceny. — **Dykcyonarz roślinny** ks. Kluka w 3-ach tomach, edycja z 1805, 1808 i 1811 jest do sprzedania lub zamiany na „Historię w opowiadaniach obrazowych” p. Z. Zużyczkowską, w 3 tomach. Adres: p. A. Wroczyński, st. Prasnysz, w Bogatem. — **Najmodniejsze korciki.** (P. S. Z. w Tiumeniu.) Warszawskie panie i panowie ubierając się w materje kraciaste, wyglądają jak opasani sztachetami. Niektórzy eleganci gustują w kratkach zielonych, inni w żółtych, a najszczęśliwsi są ci, co mogą używać wszystkich kolorów. Szczęście wielu ludzi i od paltota zależy.

Treść numeru 598 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy. — Carmen, obrazek z życia południowo-amerykańskiego, skreślił d-r Józef Siemiradzki (dokończenie). — Bóg i bogowie (wiersz). — Święta, opowiadanie dziejowe Arweda Barine’a (d. c.). — Pożar Opery komicznej. — Raptularz tygodniowy. — Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun” (d. c.). — Listy polityczne. — Jaki wpływ wywiera świeże powietrze na apetyt? — Ze skarbca prawd. — Szarada. — Humorystka. — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — *Rysunki:* D-r Józef Majer. (Podług fotografii rysował I. Wróblewski). — Pożar Opery komicznej w Paryżu. — Bohater. — Carmen. (Rysunek J. Ryszkiewicza). — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera: **Serce matki**, powieść Alberta Delpit, arkusz 1.

Przypominamy sz. prenumeratorom, którzy wnoszą prenumeratę kwartalnie, aby z odnowieniem jej na kwartał III-ci i IV-ty o ile możności pospieszyli. Przesyłka pieniężna *wprost* na nasze ręce jest dla obu stron najdogodniejszą; pomaga ona do dokładnej i bezwzględnej ekspedycji. Premium zeszłoroczne otrzymają prenumeratorowie w kwartale IV razem z premium tegorocznem t. j. z portretem olejnym

Józefa Ignacego Kraszewskiego,

wykończonym artystycznie, podług portretu oryginalnego przez hr. Mniszcha, uznanego przez ś. p. Kraszewskiego za najlepszy z dotychczasowych jego portretów i fotografii.

Adres: Księgarnia i Redakcja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się rocznie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38, z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obce, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można *wprost* do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcja nie odpowiada.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Юня 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora - Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

Bakterye i bankruci. — Co ciekawsze, zdrowie czy choroba? — Pomiędzy czar-
nemi charakterami białe. — Waryat z ucieciwości. — Wobec kodeksu, sumienia
i wobec serca. — To samo na scenie. — Komedya K. Zalewskiego. — Stary Abra-
hamek i syn jego. — Bohater zawczesny ale nie z obłoków. — Resurrecturi
i Morituri. — Znaczący życia. — Uratował sąsiada. — D-r Majer w Warszawie. —
Jak go przyjęto.

W atmosferze przesiąknięt bankructwami widzimy tylko szalbierzy i poszukujemy ich w każdej aferze jak baktryolog poszukuje zarazków w żelatynie; gdyby nie rozdrażnienie znaleźli-
byśmy niejeden postać ratującą honor społeczeństwa, w którym podstępne bankructwo jeszcze nie pachnie jak fiolek, ale już straciło wstrętny wyziew konopi gnijących.

D-r Bujwid wtajemnicza na wystawie higienicznej rzesze ciekawe w żywot pasożytów, które niewidzialnymi pyszczkami potrafiłyby zjeść całą ludzkość, gdyby im higiena pozwoliła buszować; ale tenże sam uczony baktryolog rekomenduje duży szereg antypasożytniczych środków, które hordom łęgnącym się z lada pyłku stawiają zwycięskie veto.

Jak myślicie — czemu się publiczność chciwiej przypatruje: czy temu — co zabija człowieka i zwierzę, czy też temu — co zabezpiecza ich życie? Na tysiąc widzów połowa entuzjazmuje się spustoszeniami a zaledwie połowa drugiej połowy zwraca uwagę na środki antyzarazliwe, i to wówczas tylko, jeżeli ma w domu prusaków lub inne robactwo, którego żadnym proszkiem wytępić się nie udało.

W pracowni d-ra Bujwida to samo się dzieje co nad brzegiem rzeki, w której falach pasuje się człowiek ze śmiercią: widzowie wzywają ratunku dla nieszczęśliwego ale równocześnie bawią się jego strasznymi wysiłkami; litość wywołuje modlitwę na intencję rozbitka ale nerwy nasycają się jego konaniem. Z tych samych powodów nerwowych żywo zajmujemy się szalbierzami, pamiętamy ich nazwiska, dopytujemy się gdzie wylądowali, co porabiają, czy znowu wrócą do nas i znowu rozpoczną życie... uciekliwe. Nazwiska bankrutów z ostatnich czasów potrafi wyrecytować jak lekcya gimnazysta i pensjonarka, Hannibal w ich pojęciu sprzymierzył się z Neumarkiem, Alcybiades z Kierszem i t. d. i t. d. I zdaje się wszystkim, że w tym świecie kredytów i debitów rozsiadły się same charaktery czarne, że ponad książkami buchalteryjnymi, przy kasach ogniotrwałych pracują ludzie, którzy po śmierci pełnić będą funkcję cerberów piekielnych, i z niedowierzaniem, jak bajkę, powtarzamy wiadomość o finansistcie, który zwaryował dręczony żalem, że nie mógł wynagrodzić krzywd wszystkich. A jednak w ostatnich rozbojach, spełnionych na bruku naszym, były i charaktery prawe, pomiędzy tymi co ściskali ręce oszustów były także ręce czyste.

Przytaczamy dziś tylko jednego człowieka, który pilnując księgi kasowej, nie przestał być szlachetnym. Za jego pośrednictwem pewna rodzina powierzyła cały swój majątek spekulantom używającemu dobrej opinii; spekulant nagle zbankrutował, uciekł i wierzycieli pogrążył w nędzy.

Ten, który stał się mimowolnym powodem nieszczęścia — był czystym wobec prawa, mógł śmiało patrzeć ludziom w oczy, bo nikt mu nie zarzucał spółnictwa, bo każdy był przekonany, że działał w dobrej wierze. Jednak ten człowiek czysty jak brylant wobec prawa, opinii a nawet wobec własnego sumienia — nie umył rąk od winy i skutki nieszczęścia przyjął na siebie; sam niezamożny, dług oszusta uznał za swój i skrupulatnie z niego się uiszcza.

Już minęło lat kilka od tego wypadku a ani razu nie opóźnił się z wypłatą raty; płaci a płacąc nie gniewa się, owszem pomaga jeszcze i radą moralną, kieruje wychowaniem dzieci, którym majątek po ojcu co do grosza zwróci. Dla honoru wyrzekł się nawet szlachetnego samolubstwa, bo mając własne dzieci nie zostawił im nic, oprócz nieskalanego imienia.

To jest fakt rzeczywisty; wierzymy w niego znając tego człowieka, ale gdyby nam tylko opowiadano, zapytalibyśmy się — czy to prawda, chociaż o tém, że łono naszego społeczeństwa rodzi ludzi szlachetnych — nigdyśmy nie wątpili.

To fakt z życia.

Na coś równie idealnego patrzyliśmy wczoraj w teatrze. Grano komedya K. Zalewskiego p. t. „Małżeństwo Apfel”,

w niej bohaterem jest żyd, z powołania przemysłowiec i bankier, z przekonania obywatel i chrześcianin, syn Abrahamka, który w młodości handlował skórkami baraniami, ochrzcił się dla interesu i posiadał miliony.

Stary Apfel, były Abrahamek, zbankrutował i oddał wszystko swoje wierzycielom; ponieważ majątek ojca nie wystarczyłby na pokrycie wszystkich długów, więc syn oddaje także majątek swój i wychodzi ze swego pałacu pieszko, bez grosza.

Ten syn, młody, ukształcony Ernest, to bohater, w którego ojciec wpatruje się z początku jak w waryata lub Don Kiszota szlacheckiego honoru. I stary Abraham jest człowiekiem uczciwym ale po kupiecku, wie, że oddał wierzycielom wszystko, że nic nie ukrył; wie, że może na stare lata przyjdzie mu wrócić do tego od czego zaczął — do skórek baranich; wie, że jeśli skrzywdził kogo to mimowolnie, tak samo jak skrzywdził siebie — więc jest spokojnym choć zbolalym. Śmiało będzie patrzył w oczy kodeksowi handlowemu — więcej mu dla honoru nie trzeba; dla starego kupca kodeks handlowy jest ewangelią.

Ale Ernestowi kodeks nie wystarcza — on potrzebuje poświęcenia i spełnia je bez wahania; stary załamuje ręce nad zaślepieniem syna, którego miał za bardzo uczciwego ale i za bardzo rozumnego człowieka, lecz w końcu, kiedy ten syn nieugięty już się zabiera do opuszczenia pałacu, wraz ze swoją ukochaną żoną, córką rodu szlacheckiego — stary Abraham zapłakał i wyznał, że teraz dopiero poznał ludzi.

Bankructwo suto się staremu opłaciło, bo w dziecku swoim zobaczył człowieka zdolnego odpokutować za wszystkie winy przodków, jakie nieszczęśliwą ziemię opłatały i poniżyły.

Autor komedii ma wielką zasługę, że teatru używa do poruszenia kwestyj tak zwanych żywotnych, że tworząc od czasu do czasu sztuki literackie, nie spuszcza z oka tego, co dla nas jest kwestyą duchową i materyalnej siły. Do tych kwestyj należy na wszystkie strony obrabiana kwestya żydowska, obrabiana ciągle i ciągle coraz bardziej zaplątywana. Autor w „Małżeństwie Apfel” zagadkę tę poruszył do ostateczności, powiedział Abrahamom, wyznającym Stary zakon lub już ochrzczonym: Dajcie nam takich synów a żyda pokochamy jak brata; i zostaną na uboczu tylko głupcy albo przewrotni ale społeczeństwo bronić będzie potomków lichwiarzy z Getto, piętnowanych żółtą łata na plecach.

„Ten Ernest — to fikcja, mogła się ona wylądować tylko w głowie autora” — powtarzali widzowie a jednak ciż sami oklaskiwali z zapalem każde odezwanie się młodzieńca; w piersi widzów istniało zaprzeczenie: „tak nie jest”, ale oklaski i przywoływania mówiły: „tak być powinno”.

Lecz nie bierzmy recepty autora w dosłownym znaczeniu: odrodzenie spoczywa nie w rękach bankierów; takich bohaterów jak Ernest autor zapewne chce widzieć nie tylko w kantorach ale wszędzie, na każdym polu pracy społecznej, nie tylko przy pełnej kasie i w salonach ale także pod ubogą strzechą rzemieślnika, w biednym żydzie, który ma do ofiarowania społeczeństwu tylko swoje krew, tylko swoje życie... Do odrodzenia żydów nie konieczne jest zubożenie, niech zostaną skrzynie pełne, byle nędza duchowa przepadła.

Nie mierzymy sensu tej komedii rzeczywistością, bo się rozczarujemy, ale przynajmniej, że autor wskazuje drogę wiodącą do celu.

Nie wyklinam naszej sfery finansowej, znam jej dobroczynność, nie wątpię nawet o zdolności do poświęceń przy których serce kraje się z bólu, ale nie podjąłbym się w naszych salonach wynaleźć takiego Ernesta bez spalenia kilku skrzyń świec woskowych; i to jeszcze w końcu znalazłbym tylko Ernestka. Autor przeskoczył szczeble towarzyskiej pracy, na którą się składają dobroczynne rauty i koncerty, dyżury w szpitalach, zupa rumfordzka, ciepłe kaftaniki dla biednych, koszulki dla dzieci, teatru amatorskie, loterye i t. p.; pominął nawet dobre wychowanie, znajomość jeografii i historii, pominął wszystkie pozory, jakimi rodziny żydowskie wkupują się w społeczeństwo a odrazu pokazał kres, przy którym czeka na nich zwycięstwo.

Kto inny powie o zaletach i wadach komedii jako sztuki, my uprzedziliśmy krytyka i witamy z głęboką sympatyą utwór, który nagroził nam sówicie niesmak, jakim się zatrułiśmy mówiąc w zeszłej kronice o pani „Francillon”; autor „Małżeństwa

Apfel" nie opuszczając ziemi sięgnął do ideałów, dał nam ludzi których trzeba kochać i szanować, ludzi z tej sfery, która rodzi przeważnie bakterye giełdowe. Taki Ernest, choć jest zawczesny, ale to człowiek z krwi i kości — nie z obłoków.

Szkoda tylko wielka, że autor tak suto oświełszy drogę izraelowi do *Resurrecturi*, równocześnie tak grobowym głosem zaśpiewał *Morituri* rodzinie szlacheckiej. Szlachta stara w tej komedii to próżniacy bezczelni, wstrętnei; a i po młodych nie wiele dobrego spodziewać się można, bo taki Rolewski to tylko entuzysta — mówić umie ale pracować chyba nie; może i on skończyć na bogatym ożenku. I jego siostra cioteczna, żona Ernesta, czysta, pocziwa, rozkochana w wspomnieniach z lat dzieciństwa — nie da sobie rady na świecie, jeśli los pozbawi ją opieki męża i na matkę zawoła: wychowuj dzieci na dzielnych a prawych obywateli! *Morituri* zaokrutne. Nie wierzymy w nie; szlachta się odrodzi ale także przez swoich Ernestów.

Zadługo w kronice rozpisałem się o komedii ale usiadłem do pisania pod wrażeniem, z jakim uniesiona zapalem publiczność przyjmowała utwór przedewszystkiem szlachetny; w recenzji chwaliłbym także doskonałą grę aktorów, staranność reżyserii, tu chwałę tylko tendencyą sztuki i cieszę się z publiczności, która umie ocenić to, co jest piękne i czyste. Niechże teatr o tym pamięta.

Zacząłem od życia, przeszedłem przez teatr i znowu do życia powracam, i znowu spotykam wyjątek.

Nazwisko nowego bohatera wymieniamy: jest nim p. Antoni Liskowacki, właściciel Steckowiec; do tej jawności upoważnił nas korespondent z Żytomierza, który szlachetny czyn p. A. L. rozgłosił w „Gazecie Polskiej”.

I cóż takiego zrobił p. S. L.? Zrobił rzecz szlachetną zawsze a bohaterską w dzisiejszych ciężkich czasach: wyratował z ruiny p. K., ziemianina tradowanego przez p. Ż., spekulanta, który przez procesa i zastawy przyszedł do niejednej pięknej posiadłości ziemskiej.

Niegdyś panowie uniesieni fantazyą obdarowywali sługi swoje folwarkami ale musieli znać tego komu dobrze czynili; rzadziej szli oni z pomocą sąsiadom o których ledwie coś nie coś zasłyszeli; ale p. A. L. nie fantazyą się kierował, a pana K. poznał dopiero w kancelaryi notaryusza, kiedy komornik zabierał się do tradowania. Szło o 5,000 rs., których p. K. nigdzie dostać nie mógł; p. A. L., wychodząc od swego notaryusza z odebraną właśnie sporą sumą pieniężną, dowiedział się o nieszczęściu i bez namysłu należność zaległą wyliczył, a p. Ż. szpony swoje, które już zapuszczał w ciało biedaka, musiał cofnąć.

Rzecz prosta, jasna i krótka a jednak jak ona długo dźwięczeć będzie w pamięci tonem słodkim, na nutę: Dalibóg dobrzą sę ludzie!

Ale nie krzywdźmy nikogo: z p. A. L. była jego żona; zacna niewiasta ani słowem nie zaoponowała mężowi, oboje pożyczkę w najdelikatniejszy sposób zaproponowali. Niechże „Lutnia” nasza ogłosi na konkurs hasło: Dobra żona koroną mężowi!

Doprawdy, pomyślny mam jakiś tydzień — same wyjątki. I jeszcze wyjątek z życia, które w 75-tym roku nie straciło młodzieńczej dzielności. Nie wiem, jaki określnik postawić przy nazwisku d-ra Majera, który zjechał do Warszawy, skuszony wystawą higieniczną: Prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności nazywają po pismach uczonym, czcigodnym, nieustrudzonym... kochanym; my wybieramy ostatnie. D-r Majer jest kochanym jak ojciec, jak przyjaciel przez młodzież, której tyle wychował; mąż wielkiej nauki i wielkiego doświadczenia zyskał sławę rozumem ale serca zdobył sercem, w którym nigdy najmniejszy pyłek samolubstwa nie popasał. Ta bezinteresowność, to oddanie siebie całego na usługi społeczeństwu, zrzadziły, że mogąc dorobić się w praktyce lekarskiej majątku, d-r Majer przez całe życie hołdował nauce, nauczycielstwu i służbie obywatelskiej.

W praktyce lekarskiej możeby stracił tę pogodę usposobienia, jaką i teraz w sędziwym wieku posiada; niema takiego smutku, którego by mąż doświadczony nie uśmierzył, wlewając nadzieję w duszę wątpiącą. „Jam już stary a wierzę, cóż wy dopiero, którym życie się uśmiecha”; — mawia do młodzieży, której świeci przykładem pracy, poświęcenia i poprzesztawania na małym.

Nauka nie zaślepiła d-ra Majera, rozmowa z nim jest najmiłą pogawędką, przeplatana miłym dowcipem i lekką satyrą, której ostrze łagodzi szczerą uprzejmość. Nauka nie wyziębiła serca uczonego — d-r Majer zachwyca się pięknosciami natury a szczególnie swoją Szczawnicą, w której przepędza prawie każde wakacje. Wierny stróż języka ojczystego, marszczy się słysząc cudzoziemczyznę na ustach tych, którzy polskim posługiwać się powinni; a będąc wiernym językowi, wiernym jest także tradycji, do której i jego czcigodne imię należeć będzie.

Upragniony gość przyjętym został w Warszawie tem wszystkiem, na co tylko zdobyć się mogło niebogie nasze domostwo: wrota wystawy narozścież się otwały a lekarze i przyrodnicy wyścigali się, aby usłużyć drogiemu gościowi. Gość zaś rozpatrywał wszystko, o wszystko pytał, słuchał wykładów w klinice i krakowiaków wyśpiewywanych przez kapelę lubelską, zwiedzał szpitale, przypatrywał się zabawom dzieciennym z takim zajęciem, jakby na trawniku widział własne dzieci; zwiedzał tunele, próbował w kuchni tanię rosółu a pod werendą, w gronie uczonych kolegów, zasiadł do bigosu hultajskiego.

Owacyjnie podejmowało d-ra Majera Towarzystwo lekarskie i Towarzystwo ogrodnicze zwołało nadzwyczajne posiedzenie. Nigdzie nie ograniczył się na roli biernego gościa, który przyjmuje to tylko co mu dadzą, wszędzie był duszą zebrania i słowem serdecznem, lżą dziękował za gościnność warszawską.

Podobno komitet Towarzystwa ogrodniczego ofiarował czcigodnemu gościowi przepyszny bukiet, jakby jakiej panience; jeśli to prawda, to adres nie był chybnym, bo d-r Majer we wszystkiem co piękne więc i w kwiatach się kocha. Pochlebiamy sobie, że bukiet z syreniego grodu, ofiarowany „ojcu chrzestnemu” wystawy higienicznej, nie został w hotelu ale pojechał do Krakowa, że chociaż zwiędnie i z listków wyłysieje, nie usunie go ukochany nasz gość z przed oczu swoich. Nie ruszajcie go — zapowie swoim domownikom — on z Warszawy!

Sep.

CARMEN.

OBRAZEK Z ŻYCIA POŁUDNIOWO-AMERYKAŃSKIEGO,

skreślił podług osobistych wspomnień

D-r Józef Siemiradzki.

III.

(Dokończenie.)

Od powrotu pułkownika upłynęło kilka tygodni, podczas których Carlos nie dawał żadnego znaku życia. Patrole, rozslane na wszystkie strony, powracały z niczem — żadnej nie przynosząc o zbiegu wiadomości. Widziano go tu i owdzie, nie znano jednak miejsca stałego jego pobytu, gdzieby go przaresztować było można; a pułkownik zawziął się nie na żarty, chodziło mu bowiem o rzecz ważniejszą niż spełnienie urzędowej czynności — bo o ocalenie honoru imienia dumnego hidalga. Od czasu znaney nam rozmowy z córką, nie wspominał nawet w jej obecności imienia Carlosa; umiał jednak don Manuel słowa sobie danego dotrzymać i mulata za jakąbądź cenę do rąk dostać musiał.

Robledo tymczasem codziennym w domu pułkownika był gościem, a że był wesoły, dowcipny, miły, ze zręcznością wytrawnego salonowca umiał omijać drażliwe tematy, przytem tyle miał ciekawych rzeczy do opowiedzenia ze swych dalekich podróży. Córka komendanta pomimo uprzedzenia, jakie miała do porucznika, pomimo świeżego jeszcze wrażenia nocnej serenady, przywykać doń powoli zaczęła, jak się przywyka do sprzętu jakiegoś, który się codzień na jednym miejscu widzi, do melodyi, którą ulubiona papuga aż do znużenia wygwizduje, lub

do człowieka zupełnie dla nas obojętnego, którego widok jednak pewną nam przyjemność sprawia. W umyśle Carmeny dokonywał się zwolna przewrót, z którego sobie sprawy nie zdawała i przeciwko któremu broniła się rozpaczliwie—lecz przewrót ten bądźco bądź nastąpił; obraz wymarzonego, utraconego z oczu ideału zacierać się poczynął, a na jego miejsce, pomimo wysiłków Carmeny w celu odświeżenia barw niknącego obrazu—coraz jaśniej zarysowywały się eleganckie blond faworyty don Antonia Robledy.

Don Antonio starał się otwarcie, za zezwoleniem ojca, o rękę pięknej Carmeny. Łatwo zrozumiemy jednak, dlaczego dziewczę wahało się przyjąć ofiarowaną sobie świetną partya, nie dając porucznikowi stanowczej odpowiedzi, o którą coraz natarczywiej nalegał; dręczyła ją myśl: co powie Carlos? czy ten ciężki cios znieść potrafi? Jednocześnie nasuwała się myśl inna: a może... może on ję już nie kocha? może poprostu igrał z płochą dziewczyną ot tak sobie, dla rozrywki? a może... on kocha inną? O! tegoby mu nie darowała nigdy. Wynajdując rozmaite „może”, doszła w toku rozmyślań wreszcie do tego, że pragnęła prawie przekonać się o niewierności kochanka; wtenczas by ję skrupuły prysły—oddalaby mu tylko pięknem za nadobne, zemściłaby się na niewdzięczniku, nieumiejącym cenić względów pięknej Carmeny.

Pewnego wieczoru Rosita, która, rozbierając panienkę, znosiła ję zwykle na dobranoc wszystkie wielkie plotki małego miasteczka, wyszeptala wiadomość ważną: Carlos był w pobliżu, a chroniła go od ścigających żołnierzy potężna opieka młodej wdowy po kupcu bławatnym, znaney powszechnie pod przezwiskiem „Niemki”.

Kim była właściwie owa Niemka, nie wiadano dokładnie, jak w ogóle o większości cudzoziemców do Ameryki przybyłych, których przeszłość kryje zwykle mgła tajemnicza. Mówiono, że była aktorką, złośliwi utrzymywali, że z wiedeńską „Damen-orchester” jeździła po świecie, aż wreszcie udało ję się skaptować względy signora Fiorini, starego włocho, który, na różnych przedsiębiorstwach dorobiwszy się znacznej fortuny, zapragnął pod koniec żywota zawinąć do przystani hymenu. Niedługo cieszyła się małżonkiem Fraulein Adelaida, w kilka bowiem miesięcy po ślubie zmarł, pozostawiając żonie na otarcie łez sklep bławatny w miasteczku i piękną „haciendę” w uroczej położonej miejscowości. Jako cudzoziemka, stojąca poza obrębem miejscowej polityki, pani Adelaida cieszyła się poważaniem obu stronnictw, które dom ję uważały za nietykalny. Carlos też lepiej trafić nie mógł, wyczekując, tuż pod bokiem ścigającej go władzy — lepszych czasów, t. j. wybuchu nowej rewolucyi.

Wiadomość przyniesiona przez Rositę wywarła silne wrażenie; więc niedość, że ją Carlos opuścił, nie dając przez kilka tygodni żadnej o sobie wiadomości, ale śmiał kochać inną;—bo że Niemkę kochał, to dla naszej bohaterki najmniejszej nie ulegało wątpliwości. Pocóżby w ję domu szukał schronienia, narażając się na schwytanie przez ścigających go usilnie żołnierzy? — przecież kraj szeroki, lasy niedostępne, stepy bezbrzeżne, w nich się przez dziesięć lat ukrywać można przed pościgiem wroga. O! zdrajca! zniechędziła go od tęg chwili; Carlos woli Niemkę aniżeli ją — dobrze więc, pokaże mu, że ją to wcale nie obchodzi—znajdzie dwudziestu lepszych od niego. Śmiał wzgardzić miłością Carmeny i dla kogoż—dla brzydkiej cudzoziemki! Carmen teraz wie, co winna jest córka hiszpańskiego szlachcica honorowi swojej rodziny, co winna jest dumie rodowej. Wiadomość otrzymana potraciła w Carmenie najczulszą strunę kobiecego charakteru—zazdrość; pod wpływem tego czynnika, papiery don Antonia szybko w górę poszły. Ten dobry, poczciwy don Antonio, taki troskliwy, taki miły; — on do podobnej nieszczemności nie był zdolnym. Myśląc o wysokich zaletach porucznika, Carmen znowu we łzach szukała uspokojenia.

Nocy tęg Carmen spać nie mogła, wążąc w swęj biednej główce postanowienie; nazajutrz przy śniadaniu była dla Robledy tak grzeczną i ujmującą jak nigdy przedtem; don Antonio też nie zaniedbał skorzystać ze sposobności, ażeby raz jeszcze o stanowcze słowo zapytać. Odpowiedziała mu „tak” bez zająknięcia, ze swobodą zupełną, jak gdyby nigdy innej odpowiedzi dać mu nie miała zamiaru. Porucznik promieniał szczęściem,

całował po tysiąc razy drobne rączki, przysięgał, że ją uczyni najszczęśliwszą kobietą pod słońcem — jednym słowem, powtarzał z zapalem cały arsenał frazesów, które bohaterowie romanów w chwilach podobnych wypowiadać zwykli. Wkrótce nadszedł pułkownik, a widząc spełnione swoje życzenia, z radością pobłogosławił młodą parę; splakali się naturalnie wszyscy i poszli podzielić radosną nowinę z sąsiadami i znajomymi w miasteczku.

Wieczorem zebralo się kółko bliższych przyjaciół w domu pułkownika, przyszedł i staruszek proboszcz—oblać kieliszkiem staręj madery zaręczyny, a że w Ameryce kwestyi wyprawy nie uważa się za rzecz tak pierwszorzędnęj wagi jak u nas, postanowiono ślub odbyć niezwłocznie, naznaczając dlań dzień Ś-go Jana, patrona miasteczka. W tym to dniu miał się odbyć zarazem wielki odpust z fajerwerkami, tancerzami indyjskimi i najulubieńszą zabawą hiszpańską — walką byków, ofiarowanych miastu przez pułkownika Ribere, dla uświetnienia uroczystości zaślubin Carmeny.

IV.

Zanim się rozpocznie uroczystość w miasteczku, idźmy rankiem w dzień Ś-go Jana o dwie mile dalej, do haciendy Niemki i zobaczmy, co porabia nasz znajomy Carlos.

W rozkosznej dolinie u stóp Chimborazo, w cieniu kwitnącego gaju pomarańczowego, stoi skromny, biały, czerwona dachówką kryty domek, ginący wśród ciemnej zieleni oplatającego go dzikiego wina, bluszczu i passiflory. Kilka gustownie urządzonych klombów kwiatowych tworzy malutki ogródek; posiadłość całą okala wysoki żywopłot z drzewiastych kaktusów, których wielkie ponsowe kwiaty jakby krwawe plamy odbijają od szarawo zielonęj ściany. Ze szczytu panującej nad domem skały spada srebrzysta wstęga malowniczej kaskady, rozpryskująca się o sterczące głązy w miryady drobnych kropelek; w obłoczku białawęj mgły załamują się promienie słoneczne, tworząc podwójną tęgę—postrach zabobonnych indyan, widzących w nię groźny objaw złego ducha. Tęcza ta była powodem, że pomimo żyźności gruntów, zdrowego klimatu i bliskości miasta, uroczę to zacisze nietkniętę było przez zabobonnych krajowców, a signor Fiorini, mnię robiący sobie skrupułów ze złemi duchami, nabył ją prawie darmo. Domek haciendy otaczają nieliczne lecz porządne zabudowania gospodarskie, młyn do mielenia trzciny cukrowej, alembik do pędzenia spirytusu, spichrz, stajnia (luksus nieznany w Ekwadorze) — wszystko to czyste, porządne; znać na wszystkiem rękę nietutejszą, znać, że się europejczyk w tęg siedzibie zagnieździł. Jest to *calparaiso* (dolina rajska), przez okolicznych indyan zwana: *el kujczy* (tęcza), willa signory Adelaidy Fiorini.

Po starannie wybrukowanęm podwórku, indyjski parobek (peon) oprowadza złocistocisawego rumaka w ozdobnym meksykańskim rzedzie. Z poza zielonęj ściany bluszczu i dzikiego wina, osłaniającej werendę, dochodzi gwar wesołęj rozmowy. Korzystając z naszego przywileju niewidzialności, zajrzyjmy do wnętrza.

Przy prostym, domowęj roboty stole siedzi nasz znajomy Carlos z cygarem w ustach, a obok niego pulchna blondynka, ubrana w wełnianą błękitną spódnice, koszulę bez rękawów i krajowy szal kolorowy. Tylko misterne ułożenie włosów w sposób nieznany w kraju zdradza cudzoziemkę, którą też była istotnie właścicielka willi—signora Fiorini. Przed tą parą stało kilka wypróżnionych butelek z oryginalnęm piwem bawarskiem, butelka starego koniaku, ser szwajcarski, sardynki i inne specyały europejskie, któremi Niemka swojego gościa częstuje. Wszystko w otoczeniu zdradzało niemieckie pochodzenie wdówki, poczynając od umieszczonego wśród róż i oleandrów, otoczonego girlandą zeschłych liści, oleodrukowego portretu Bismarka w odwiecznym kirasyerskim mundurze z żółtęmi rabatami, a kończąc na dwóch kufkach kryształowych z porcelanowemi nakrywkami, na których było: na jednym — serce gorejące przeszyte strzałą, z napisem *ewig dein*, na drugim zaś widoczek jakiś z podpisem *Erinnerung an Ems*; nie mówiąc już o porzuconęj na stole rozpoczętęj robótce szydełkowej.

— *Caro mio*—zrób to dla mnie, jeżeli mię kochasz chociaż odrobinę—nie jedź dzisiaj do miasta, zostań ze mną.

— I cóż ci tak bardzo na tém zależy—przecież o tę małą nie możesz już być zazdrosną, skoro w tej chwili odbywa się jej ślub z Robledą. Zbirów don Manuela nie obawiam się wcale, a okazji wesolej fety nie zwykłem opuszczać; przytem będą byki, a *los toros*, jak wiesz, to moja namietność.

Niemka oburącz objęła go za szyję, z miłością wpatrując się w jego czarne, przenikliwe oczy.

— Carlos! proszę cię raz jeszcze, nie jedź; mniejsza o Carmen, mniejsza o zbirów—ufam twojej odwadze i przytomności, ale przecie szepce mi coś niedobrego—serce mi mówi, że ty już nie powrócisz do kochającej cię Adelaidy, że cię spotka jakieś nieszczęście...

Carlos odtrącił ją zlekka.

— Dzieciństwo! wiecznie mię nudzisz swemi przecuciami; powiedziałem ci raz, że jadę i jechać muszę.—Hej, Juan! konia!

Indyanin podprowadził bułanka, przytrzymał strzemień, i w chwilę później Carlos znikł poza żywopłotem kaktusów.

Niemka pozostała na werendzie, wsłuchując się w niknący tętent kopyt końskich; później przysłoniwszy oczy ręką wpatrywała się w dal, czy gdzie na zakręcie gościńca drogiej postaci nie ujrzy; gdy wreszcie obłoczek kurzu na drodze w oddali widniejący znikł zupełnie, westchnęła, otarła ręką łzę, co jej spływała po twarzy, zrobiła znak krzyża w stronę Carlosa i szepcząc: „On nie wróci”, zabrała się do uprzątnięcia resztek śniadania.

W kwadrans później, na dzielnym koniu pędziła w ślad za Carlosem.

V.

Mały kościółek parafialny, przybrany świątecznie w girlandy kwiatów i bluszczu, nie może pomieścić cisnącego się tłumu. Na chórze orkiestra wojskowa wygrywa poważnego marsza; u wejścia kilkunastu indyjskich tancerzy (*dansantes*) w malowniczych białych strojach, przybranych w kolorowe wstęgi i strusie pióra, wygląda ciekawie z poza pleców tłumu, nie śmiejąc przecisnąć się do ołtarza, gdzie klęczą na ozdobnym klęczniku Carmen i Robledo. Ona w gładkiej błękitnej sukni jedwabnej, z białą koronkową zarzutką na głowie, on w błyszczącym mundurze, ze szpadą przy boku; otacza młodą parę grono krewnych i przyjaciół don Manuela.

Gdy po skończonem nabożeństwie sędziwy kapłan, przy dźwiękach „*Veni Creator*”, stuł ręce nowożeńcom wiążał—Carmen, wbrew zwyczajowi przyjętemu przez panny w podobnej okoliczności, nie płakała wcale, powtarzając za kapłanem rotę przysięgi ślubnej bez zająknięcia, z uśmiechem nawet. W płaczu zato wyręczył ją ojciec. Po spełnionym obrzędzie, całe towarzystwo, przy odgłosie weselnego hymnu i okrzykach *viva!*, udało się do domu pułkownika, eskortowane przez chłopaków ciskających wokoło zapalone szmermele i strzelających na wiat z karabinów.

Opisywać uczty weselnej nie będę, oprócz bowiem tego, że towarzystwo nie miało fraków ani sukien balowych, a toasty zamiast szampanem spełniano koniakiem i anyżówką, oraz, że wszystkie potrawy były mocno papryką zaprawne—niczem się ta uczta od podobnych obchodów w Europie nie różniła.

Otwarta werenda domu pułkownika wychodziła na plac, na którym odbywały się zabawy ludowe. Po śniadaniu podochocone towarzystwo przeniosło się na werendę, z kądem dokładnie widziało ciżbę raczącą się anyżówką i „chichą”, ustawioną na placu w beczkach pośród stołów z mięsiwem, serem i gotowaną kukurydzą. Lud pił na zabój, krzychał *viva!*, bardziej podchmieni tańczyli w takt wygrywającej orkiestry, tworząc „pendant” z indyanami, tańczącymi również przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki na bębnie i trzcinowym flecie.

Naraz przebiegl pomiędzy tłumem wyraz jeden—*el toro!* magiczny wywierając wpływ na podochoconych ludzi. Porządek zapanował w jednej chwili, krzyki umilkły, beczki i stoły usunięto—plac oczyścił się w parę minut, pozostawiając wolne miejsce dla ulubionych popisów toreadorskich. Wkrótce dał się słyszeć przeciągły odgłos trąby pasterskiej, zwiastującej przybycie pożądanego „toro”. Dwóch silnych indyan prowadziło go na arkanach, zarzuconych na rogi; byk pienił się ze złości, lecz szedł posłuszny, doświadczywszy już bezskuteczności swego oporu. Był to piękny okaz górskiej rasy—niewielki,

silnie zbudowany, barwy brudno-siwą z długą siercią, jeżącą się na grzbiecie i łopatkach, z rogami długimi, skierowanymi naprzód. Ryczał ponuro, czekając rychło-li go z niewoli wypuszczą.

Ze względu na brak baryery oddzielającej plac od publiczności, byka nie wypuszczano zupełnie—lecz tylko zdjawszy jeden z arkanów, puszczało go na długiej bardzo linie, tak iż nie mogąc rzucić się na tłum, miał jednak pozostawioną zupełną swobodę w obrębie placu.

Natychmiast wyległo mnóstwo młodzieży ochoczej; chłopcy, zrzuciwszy swe czerwone *poncha*, z krzykiem otoczyli byka—chwytali go za ogon, siadali mu na grzbiecie, kręcili się z czerwona płachtą o cal od jego ostrych rogów—popisując się ze zręcznością swoją przed zgromadzoną publicznością. Jeżeli który z toreadorów niezbyt zręcznie bykowi się z drogi usunął, dostając uderzenie łbem lub kopnięcie nogą, widzowie wybuchali śmiechem, klaszcząc w dłonie; niefortunnego toreadora obok guza czekało wygwizdanie. Kilku mniej zręcznych zostało lekko skaleczonych, inni mieli ubranie poszarpane—poważniejszego jednakże szwanku nikt nie poniósł.

Nadeszła kolej na toreadorów konnych. Wystąpiło ich kilku w szranki, lecz zanim zdolali zbliżyć się do rozszalałego zwierzęcia, z tłumu wypadł w galopie jeździec na cisawym rumaku, w którym czytelnicy łatwo domyślą się Carlosa. Minawszy dom pułkownika, Carmene powitał uchyleniem kapelusza i skierował się wprost ku bykowi; włosy miał w nieładzie, twarz czerwoną, oczy błędne—znać było, że wypił zawiele *mayorca de Espana*.

Śmiało zatoczywszy koniem tuż przed rogami dzikiego zwierzęcia, zanim go zdolano od szalonego kroku powstrzymać, dobył machety i jednym cięciem przeciął linę. Byk uczuwszy się wolnym, z wściekłością rzucił się na swego oswobodziciela.

Przez chwil kilka Carlos wśród oklasków tłumu wykręcał się zręcznie, usiłując zarzucić bykowi arkan na szyję, lecz ręka go zawiodła, arkan padł na grzbiet zwierzęcia, które w tejże samej chwili znalazło się tuż przy nim. Zanim zdolano przyjść mu z pomocą—jeździec wraz z koniem leżeli na ziemi, brocząc we krwi. Koń miał bok rozdarty, Carlos otrzymał śmiertelne pchnięcie w piersi i jęczał pod ciężarem przygniatającego go wierzchowca.

Na chwilę umilkły okrzyki; kilkanaście osób rzuciło się na pomoc rannemu; pastuchy z arkanami pobiegli w pogoń za bykiem, który nie widząc żadnej zapory, pędził wprost ku otwartej werendzie.

Popłoch powstał wśród gości weselnych—rozszalałe bydle dążyło najwyraźniej ku nim. Większość, odurzona trunkiem, straciła przytomność; Carmen, która w nieszcześliwym toreadorze poznała Carlosa, zemdlała na ręku ojca.

W krytycznej chwili jeden Robledo zachował krew zimną. Rycerski młodzieniec cieszył się ze sposobności okazania swej zręczności i odwagi, w obronie najdroższego skarbu swego. Obroni ją lub u jej stóp polegnie. Przypomniały mu się studenckie czasy w Sewilli, przypominały lekcye słynnego *matadora* Ortiza.

Dobył szpady toledańskiej, ozdobnie w złoto i perłową masę oprawnej, spróbował jej hartu, potem wyciągnawszy ostrze przed siebie, w pozycji fechtmistrza spodziewającego się natarcia przeciwnika, spokojnie czekał przed gankiem napadu. Chwila jeszcze, podczas której obecnym oddech zamarł w piersi—i dzikie zwierzę leżało u nóg porucznika ze szpadą wbity pomiędzy rogi po samą rękę.

Okrzyki podziwu na ten widok niespodziewany rozległy się w tłumie, nieobeznanym z hiszpańską manipulacją *matadora*ską; otoczono Robledę, obnoszono w tryumfie po placu, wychylano sute wiwaty; krzykom *viva el teniente!* nie było końca. Ledwo zdolął się don Antonio wydrzeć by uścisnąć żonę, która, ochłoniawszy z przerażenia, oczekiwała go, aby pocałunkiem stokrotnym za czyn bohatera wynagrodzić.

* * *

A Carlos? spytacie... Carlos leżał omdlały z bólu w sklepie Niemki; stara indyanka szepcząc pacierze przyrządzała zioła na leki; sędziwy proboszcz, który przed godziną błogosławił

młodej parze, z gromnicą w rękę odmawiał nad umierającym modlitwy za konających. U łóżka klęczy łkająca Adelaida, z rękami złożonemi do modlitwy, z czołem opartem o żelazną krawędź łoża.

— Carlos! Carlos! ty żyjesz jeszcze—wołała zrozpaczona kobieta—chwytając rękę toreadora i do ust ją przyciskając. Carlos! powiedz mi, że żyjesz. Carlos milczał, ręka jego była zimną; kapłan odmawiał „requiem”.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— W imieniu prawa proszę otworzyć! — zabrzmiał głos z ulicy i do pokoju wszedł kapral na czele uzbrojonych żołnierzy. Ujrawszy księdza z gromnicą, żołnierze odkryli głowy, ukłękli, mówili „wieczne odpocznienie” i wyszli nie mówiąc.

Sprawiedliwość ziemską nie miała tu już nic do czynienia.

BÓG I BOGOWIE.

Wśród miasta,
W czarną północ jęczą gromy,
Huczy wicher, szumi deszcz,
Milczą zwarte ciemne domy,
W domach modli się niewiasta,
Śpi robotnik, marzy wieszcz.

Pocichu, po jednej, różnemi ulice
Przesuwa się kilka postaci,
A wszystkie się w jedną kierują dzielnicę,
Gdzie hasło im cicho drzwi niskie uchyla.
Tam w izbie obszernej usiedli za stołem,
I kielich braterstwa obiezał ich kołem —
I rzekli: — Po wiekach nadeszła nam chwila,
Stanówmy o szczęściu ludzkości!

I podniósł dłoń jeden, a śmierć w niej błyskała —
I mówił:

— Płyn krwi!
Drgajcie poszarpane ciała,
Moje, wasze, mego ojca, mego syna,
I niewinnych miliony!
Mój bóg nie zmarszczy brwi.
Niech huczą spiże, dzwony,
Niech pada co zawadza,
Co ludzkości wrogiem —
Ołtarze, skarby, władza!
Bije godzina:
Lud bogiem!

I podniósł dłoń inny, a pismo w niej drgało —
I mówił:

— Płyn krwi!
Trzeźwij duszę rozbolełą
Moję, waszę, mego ojca, mego syna,
Rozbitek miliony!
Lecz sam ze siebie drwi,
Kto bóstwi lud wzbudzony:
Bóg-lud jest własnym zdrajcą,
Własnym ślepy wrogiem;
Nam rozum ma być rajcą!
Bije godzina:
Rozum bogiem!

I podniósł dłoń trzeci, a złoto w niej lśniło —
I mówił:

— Płyn krwi!
Spłynięcie raz otwartą żyłą
Wy przesady mego ojca, mego dziada,
Starych bajek miliony!
Lecz baczmy kędy tkwi
Bóg mający szpony,
Bez litości ni prawa...

Przezeń walczy z wrogiem —
W złocie nasza moc, sława!
Inaczej biada:
Złoto bogiem!

I na raz wrzawa sroga
Wokoło stołu wstanie,
Gdy każdy swego boga
Na pierwszym stawia planie.
Choć cel wszystkich nie inny
W potężnym słów rozgwarze,
Jak, że w gruzach ledz winny
Już wszelkie raz ołtarze
I wszelka wyższość zgoła!
Wtem z jękiem zadrga w posadach dom stary;
Rząd rajców wstał z za stoła.

Przez chwilę stali wpół żywi, wpół mary...
A każdy w dłoni śmierć trzymał gotową,
Lecz w żadnym oku nie błysła obawa,
Bo każdy sądził, że z ludźmi to sprawa...
Aż po raz drugi dom zadrgał w posadzie:
Sklepienia pękły i rajcom nad głową
Zabłysły gwiazdy w chmur czarnych gromadzie!

Pień ziemi drżącą szarpnęła ta siła,
Przez którą w chwilę z miast wzrasta mogiła,
A na mogiłę tę rozpacz się kładzie...

Rozpaczą jęknął gród wielki zburzony,
Mieszkaniec konał, lub biegał na strony!

Po tak przerwaną o bogów swych zwadzie,
Trzej rajcy w niebo wyciągną ramiona,
I z chórem ludu nabrzmiałym jękami
Zajękną kornie jak ten, który kona,
Jak harfa zgodnie w ton jeden strojona:
— O Boże! Boże zmiłuj się nad nami! —

Ciemności skryły, co stało się dalej.
Pytanie:
Któregoż z bogów swych rajcy wzywali?

L.

ŚWIĘTA.

OPOWIADANIE DZIEJOWE

Arweda Barine'a.

(Dalszy ciąg.)

III.

Przez ciąg lat dwudziestu Teresa de Ahumada poprzestała na spełnianiu ściśle zakonnej reguły, lecz długie modlitwy i rozpamiętywania nużyły czynny i energiczny jej umysł. „Przez długie lata, pisze ona o sobie, mniej zajęta byłam treścią i przedmiotem mojej medytacji niż pragnieniem, aby raz już wybiła godzina, któraby koniec położyła modlitwie”.

Będąc bardzo porządną i zamilowaną w czystości, rozkoszowała się zamiataniem korytarzy, sprzątaniami celi i szorowaniem naczyń kuchennych. W braku innych tytułów do świętości, możnaby ją było nazwać „świętą porządniczką”. Z miotłą w rękę, wydawała ona zaciętą wojnę pająkom, które cienkimi sieciami osnuwały szare, wilgotne mury. Gdy stała się wielką reformatorką reguły, błagała nieraz w imię miłości Bożkiej

przełożonego karmelitów, aby zmusił mnichów, prawem posłuszeństwa, do większego porządku. „Gdyby Wasza Wielbność widziała pościel ich i bieliznę, nie zawahałaby się wydać surowych i obowiązujących przepisów w tym względzie. Wprawdzie—dodawała melancholicznie—nie wiem, czyby się to na wiele przydało z takimi niedbaluchami jak oni”.

Dwoma najsmutniejszymi zdarzeniami w tej epoce jej życia były choroba ciężka, która ją nawiedziła, i śmierć jej ojca. Całe ciało jej podległo gwałtownym cierpieniom, zdawało jej się, iż szarpaną jest żelaznymi kleszczami. Doktorzy nie umieli poznać się na naturze tej choroby; dowodzili jednak, iż nerwy odgrywały w niej wielką rolę. Otaczający zaczęli przypuszczać, iż siostra Teresa uległa napadom wścieklizny. Ostatni atak wykrzywił wszystkie jej członki i pozbawił ją czucia przez dni kilka; chciano ją chować jak umarłą ale ojciec oparł się temu, i istotnie po czterech dniach przyszła napowrót do życia.

„Język mój, pisze ona, pogryzłam w kawałki. W głowie czułam wielki bezład myśli; wszystkie członki miałam jakby poćwiertowane. Pod wpływem bólu, zwiјаłam się cała w kłębek”. Po tym ataku paraliżu, który ustąpił zaledwie w lat kilka, zostały jej różne dolegliwości, na których skorzystało zgromadzenie, bo w przepisach reguły zastrzegła ona różne względy higieniczne, rozumując o stosunku zachodzącym między ciałem i duchem, między objawami uduchowionej natury i czysto fizycznymi zjawiskami, w sposób któregośby nie zaparł się współczesny nam fizyolog.

Don Alfons umarł w 1541 r. na rękę córki. Ostatnie lata życia spędził w ścisłym obcowaniu z tą, której rozum i powagę cenił coraz więcej. Miał zwyczaj radzić się w każdej okoliczności pokornej mniszki, która z poza klasztornej kraty jasnym i pogodnym okiem spoglądała na sprawy ludzkie.

Siostra Teresa gorzko opłakała zgon ukochanego ojca i długo nie mogła uspokoić się po jego śmierci.

Życie, które Teresa prowadziła w klasztorze, nie zadawała instynktów jej wyższych; wstydziała się nieużyteczności swojej. Wyznać trzeba, że życie to zakonne bezcelowem było i nudnem. Choć na sumieniu jej nie zaciężyła żadna wina, wyrzucała sobie, iż wstręt czuła do praktyk pobożnych i nadto wiele przyjemności doznawała w rozmowie z ludźmi rozumnymi. Nie było jednakże czém trwożyć sumienia niepospolitej kobiety, która całe swe życie gardziła drobnostkowością i *dla niemądrych zostawiała niemądre skrupuły*. Z drugiej strony, gdy zastanawiała się jak na niczém spełzły szlachetne jej marzenia i młodzieńcze nadzieje, pełne zapału i wiary w przyszłość—nie miała powodu być zadowoloną z siebie. Czyniła co mogła ale to wszystko było mało jeszcze. Wpółród ogólnego zepsucia, które zakradło się nawet do zgromadzeń zakonnych, klasztor pod wezwaniem „Wcielenia Pańskiego” liczył się do mniej zepsutych, przepisy moralności były w nim przestrzegane; rozproszenie umysłów nie przybrało zbyt groźnych rozmiarów. Pochwała ta jednakże nie zadawała szlachetnej ambicji dziewczycy o wielkiem sercu i energicznej woli; a gdy rozejrzała się w zewnętrznym świecie, rozczarowanie jej przechodziło w wstyd i oburzenie.

Zakony w ową epokę były instytucją zarówno religijną jak społeczną. Trudno było pokładać wielkie, duchowe nadzieje w zgromadzeniu dziewcząt, z których połowa bez najmniejszego powołania ani skłonności przywdziewała habit, spełniając wolę rodziców, którzy woleli bezposadną córkę zamknąć w czterech ciasnych ścianach celi niż wydać ją za człowieka podrzędnego stanowiska. Wynikająca ztąd swoboda obyczajów, która obchodząc regułę wkładała się poza klasztorne mury, przestała z czasem razić świat, który zapatrywał się na to pobłażliwym okiem.

Klasztory nawet karmelitanek stały się miejscem światowem, gdzie dla formy tylko zachowano kraty. Pani d'Estrées, siostra pięknej Gabrieli, a ksieni w Monbuisson—kazała zakonnicom swoim grać komedię przed licznie zgromadzonymi gośćmi. Choć zgorszenie i rozluźnienie reguły mniejszém było w Hiszpanii niż we Francji, jednakże nawet klasztor Wcielenia, który liczył się do surowszych, dawał wiele powodów zmartwienia siostrze Teresie; ze zgorszeniem widziała ona ruch

światowy wkradający się w ustronie poświęcone Bogu i modlitwie; refektarz roił się od licznie napływających gości, którzy przenikali poza kłauzurę i przechadzali się swobodnie pod cienistymi szpalerami staroświeckiego ogrodu. Cele o nagich ścianach napelniały się ozdobnymi fraszkami, które nadawały im pozór modnego buduaru; śpiewy światowe rozlegały się pod wysokimi sklepieniami, głusząc cichy szept modlitwy; narzędzia muzyczne zastępowały poważne brzmienie organu; książki światowe usuwały z rąk brewiarze a myśli płocze światały pod surowym zakonnym kwefem. Mniszki często przebywały poza domem w odwiedzinach u krewnych i znajomych a za powrotem napelniały klasztor echem światowych rozrywek.

Z tego wszystkiego jednakże wynikała pewna korzyść. Rozluźnienie pęt surowości zakonnej miało też i swoją dobrą stronę: dzięki tej swobodzie klasztor nie odstręczał od siebie, owszem, pobłażliwością swoją przyciągał tak mężczyzn jak kobiety, którzy wyczerpawszy mętne źródło uciech i rozkoszy światowych, zwracali się ku nabożeństwu, zachowując pod kwefem i habitem zakonnym duch przedsiębiorczości i inicjatywy, który potęgował zasoby energii zbiorowej. Tego rodzaju nowicyusze stanowili odpowiednich rekrutów do armii wojującego Kościoła.

Św. Teresa pojęła odrazu jaką korzyść dało się z nich osiągnąć; ona to zjednała dla karmelitów dzielnego Mariamo, włocho energicznego, żywego jak iskra i silnego w pięści a zuchwałego w mowie. Był on neapolitańczykiem, szlacheckiego pochodzenia, uprawiał za młodu poezję i retorykę, przywdział nawet biret doktora teologii, a tyle okazał zręczności i sprytu, że ojcowie koncylium Trydenckiego wyprawili go w misji do północnych krajów. Wróciwszy z poselstwa, wyrzekł się świata, został kawalerem Maltańskim, bił się jak lew pod Saint Zuentin, poczem, posądzony o zabójstwo, zamknięty został do więzienia. Po dwóch latach, posądzenie okazało się fałszywem, wypuszczono go na wolność i Filip II-gi uznał go godnym zostać guwernerem i kierownikiem książąt; jednocześnie używał go do robót inżynierskich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pożar Opery komicznój

W PARYŻU.

W Paryżu a nie u nas spłonął teatr do szcztetu i pochłonął setki męczenników; tylko echo rozpacz przyplęnęło do nas a echo choćby najgłośniejsze jest zawsze słabszém od rzeczywistości. Jednak sama wieść o takiej klęsce wzruszyć musi sercem czytelnika, musi wywołać spółczucie jego dla nieszczęśliwych i uwielbienie dla tych, którzy lekceważąc własne życie idą w ogień, aby spełnić swój obowiązek.

Nieszczęścia są spólną własnością ludzkości, jak powietrze, jak słońce i gwiazdy—niema granicy celnej dla spółczucia, dla łez i rozpacz; nie wolno też obojętnie słuchać wiadomości o rozbitkach, którzy na otwartém morzu giną bez świadków, bez dzwonów pogrzebowych, bez nekrologów. Samolubstwo względem obcych kończy się samolubstwem względem swoich i sercem wygasłém dla wszystkiego co szlachetne. Jednakowo wzruszać nas powinno bohaterstwo ludzkie, gdziekolwiekby się ono spełniło; echo bohaterstwa przebiega tysiące mil, oceany, wieki całe a nie nie traci ze swego blasku, ożywczego jak słońce. A gdzież więc tych bohaterów nieznanym jak w walce z ogniem? Dzielność strażaków można przyrównać do dzielności misjonarzy, jedni i drudzy poświęcają się i giną bez pomnika. Dlatego też powtarzamy za pismami zagranicznymi opis pożaru teatru; jedni wyciągną z niego dla siebie przestrożę, inni przekonają się, że nie wszystko w owym zachwalanym Paryżu jest doskonałém, a nikt nie straci na tém, jeśli westchnienie ofiaruje tym, co męczeńsko zginęli. Postać dzielnego strażaka—którego nawet nazwiska gazety nie wymieniają—umiarkuje może niejedną ambicję, która lada czyn zwyczajnej odwagi



Pożar Opery komicznej w Paryżu.



Behater.